Stron 12 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena 20 zł.

WIEŚ

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V Łódź, 1 lutego 1948 r. Nr 5 (134)

W NUMERZE

Anna Kamieńska

Czterdziestu najmłodszych pisarzy

(Po studium literackim w Nieborowie)

1.

O pisarzach najmłodszego pokolenia pisano mało i dorywczo. Stefan Żółkiewski zwrócił uwagę na postawę ideologiczną młodych w numerze „Kuźnicy" poświęconym ich twórczości. Twierdził, że ze wszystkich środowisk społeczno-politycznych obóz lewicy może się poszczycić najliczniejszą i najsilniejszą grupą młodzieży intelektualnej, choć niedość jeszcze wyrobionej do organizacyjnego, partyjnego udziału w „łagodnej rewolucji". Mieczysław Jastrun zajmował się nieco w „Kuźnicy" problemem kształcenia młodych poetów ubolewając nad tym, że wznawiają oni zamarły ekspresjonizm i kontynuują przezwyciężoną awangardę. Nieszczęśliwy, zdaniem Jastruna, start młodej wojennej i powojennej poezji możnaby naprawić dając młodzieży więcej rzetelnego wykształcenia literackiego, a przede wszystkim lekturę klasyków polskich i obcych. Podobnie Ryszard Matuszewski konstatując w „Nowinach Literackich" (Nr 19.. 1947) „kryzys liryki" zarzuca młodym nieuctwo, a i Kazimierz Wyka w „Szkole krytyków" w „Odrodzeniu" znajduje ciężkie słowa oskarżeń wobec młodzieży literackiej, która pragnie zamanifestować w osobnym piśmie („Nurt") swoją odrębność, podczas gdy nie może się wylegitymować ani własnym i nowym stylem poetyckim, ani nieaktualną dziś przecież, romantyczną kategorią młodości.

I mimo, że Zawieyski w [illegible] „Odrodzenia" recenzował z sympatią i uznaniem debiut Różewicza, mimo, że nie szczędzono komplementów prozie Borowskiego, opinia ogólna o młodej literaturze wypadła negatywnie.

Ministerstwo Kultury i Sztuki podjęło inicjatywę studium literackiego dla młodych pisarzy. Studium to niezależnie od swoich realnych korzyści stało się okazją manifestacji młodych przeciwko starszemu pokoleniu pisarzy. Ocenić ją można tylko na tle naszej ogólnej sytuacji kulturalno-literackiej, na tle życia literackiego znajdującego wyraz przede wszystkim w czasopismach literackich, w polityce kulturalnej tych czasopism.

2.

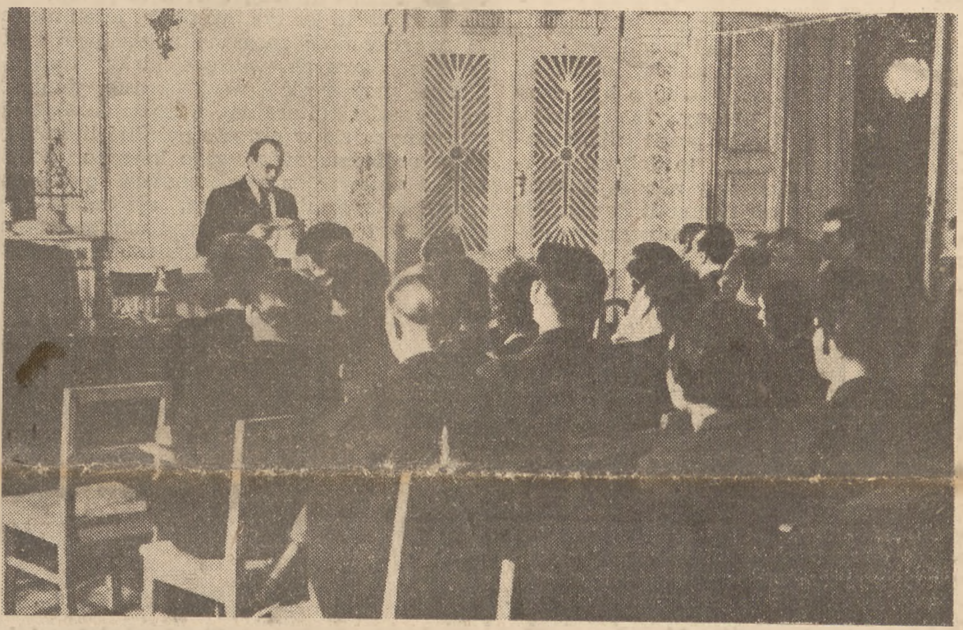
Życie literackie z takiego punktu widzenia, jaki zająłby krytyk w rodzaju Kazimierza Czachowskiego przedstawia się ciekawie i bogato. Fakty i nazwiska, każdy nad czymś się trudzi, czegoś poszukuje, jeden odznacza się „subtelną kulturą literacką", drugi posiada przynajmniej dobre intencje, tygodniki biją coraz nowe kolumny prozy, wierszy i publicystyki kulturalnej.

A jednak krytyk ten umiejący opatrzeć sznurkiem przymiotników każde zjawisko literackie, nie wie, co to wszystko znaczy. Współczesność wydaje się ludziom w niej żyjącym i zainteresowanym pstra i nieuporządkowana i każdy kto pisze o niej musi się zdecydować na to, że ryzykuje głową i imieniem i rzuca się w wir faktów, które dopiero historia schludnie poskłada na półki. —

Wydaje się, że historia z naszą literaturą 20-lecia przedwojennego załatwiła się szybciej niż można się było po niej spodziewać. Kto dziś pamięta, że Żeromski, Kasprowicz, Staff, to jeszcze bynajmniej nie emeryci, ale żywi twórcy 20-lecia? A przecież jaka to zamierzchła historia literatury!

O klęsce Juliana Tuwima pisał już w 39 roku Ludwik Fryde: „Rzecz dziwna jak raptownie zbladła gwiazda Juliana Tuwima..." Inni skamandryci stawszy się piewcami polityki wewnętrznej ustroju wychlastali swoją paletę poetycką na patos i wyszukane rymy Już, już, a i awangarda zaczęłaby wieszczyć i opiewać, jak zdarzyło się w ostatnim tomiku Czechowiczowi: „i pomożemy błysną chrześcijańskie krzyże jak dawniej w mińsku..."

Dla młodego pokolenia tuż przed rokiem 39 Tuwim i cały Skamander należeli już do historii literatury. Dziwne to może i tragiczne, ale chłopcy z endeckimi mieczykami ukrytymi pod klapą marynarki deklamowali z lubością i Tuwima i Wierzyńskiego i Lechonia. Obok klasycyzującego, bynajmniej jednak nie intelektualnego nurtu Skamandra przesącza się do szkół, do świetlic i czasopism gimnazjalnych poetycka awangarda. Nie była ona bynajmniej łatwa do przyswojenia. W latach okupacji zdobyczą najwyższej młodzieży było przezwyciężenie nastrojowości i imaginizmu Czechowicza na rzecz intelektualnych konstrukcji Przybosia, które zresztą po odczytaniu, to znaczy pod piórem naśladowców okazały się również zbyt łatwe i nieskomplikowane w swej ograniczonej liczbie schematów. W 39 roku awangarda bynajmniej nie zginęła wraz z Józefem Czechowiczem. Czytaliśmy ze wzruszeniem przepisywane na wiotkiej bibułce i kolportowane tajnie wiersze Juliana Przybosia zebrane w zbiorze „Póki my żyjemy". Wiersze te wytrzymywały próbę „czasu grozy". Były piękne i szlachetne w swej uczuciowej powściągliwości, niepozwalającej sobie w żadnej chwili na krzyk, a przecież nie tracącej moralnego rozeznania. Jedynie środowisko warszawskiej młodzieży pozostawało pod innymi wpływami. Na poezji Baczyńskiego i Gaycego znać wyraźnie szkołę Miłosza charakteryzującą się poetycznością nieorganiczną, stylizacją według kanonów piękna zaczerpniętych z obrazowości malarskiej, pozornie intelektualną bo używającą chętnie słów wielkich i abstrakcyjnych, zwłaszcza z określeń czasu i pojęć moralnych. To czym żyła młodzież, to było to jedynie realne osiągnięcie poezji 20-lecia, to był przekazywany przyszłości jej dorobek. Sytuacja poetycka w 2 lata po wojnie zarysowała się inaczej. Przyboś zaczął bez powodzenia powtarzać formuły swych wierszy, Miłosz pisze wiersze coraz piękniejsze, coraz bardziej stylizowane i spiętrzone malowniczo, poetyka redaktorów „Kuźnicy" stała się niemal oficjalna.



Otwarcie studium literackiego w Nieborowie przez H. E. Michalskiego

Przeciwko niej to wystąpili młodzi pisarze w Nieborowie.

3.

Dyskusja o poezji między młodzieżą literacką a starszymi poetami i krytykami przybrała fałszywe pozory podobieństwa sporu klasyków z romantykami. Żartobliwe aluzje co do tego potwierdził Kubacki podnosząc na szczęście w nieobecności Wyki moment młodości jako siły słusznie łączącej i wyodrębniającej młodych. Młodzi potępiali „klasycyzm" Hertza i Jastruna, nadużywanie nazw starożytnych bóstw i bohaterów, artystowski estetyzm poezji.

Roman Bratny stwierdził, że choć można się zgodzić z tezą o kryzysie poezji i hermetyzmie literatury, istnieją zapoznawane przez starszych krytyków próby wyjścia. Dokonują się one przede wszystkim przez podejmowanie w poezji młodych nowych tematów, które jego zdaniem same niosą zagładę dotychczasowym formom. Młodych w większym stopniu niż poetów poprzedniego pokolenia cechuje troska o komunikatywność języka poetyckiego, w wiersze ich przeniknął nurt epicki czy dramatyczny w postaci zdarzeń życia potocznego. Jeśli młodzi poeci cenią sobie awangardę, to przede wszystkim dlatego, że szukała ona tematu współczesnego, że przewietrzała zakurzoną rekwizytornię poezji tradycyjnej.

Inny mówca, Gruszczyński, wyraził wobec poezji postulat służenia klasie robotniczej. Niesłusznie, jego zdaniem, Jastrun zganił wiersz młodego pisarza chłopskiego usiłującego nazwy współczesnych instytucji i nazwisko Pstrowskiego zamknąć w wierszu. Młoda poezja, choć może nie ma dostatecznych osiągnięć artystycznych, ma poczucie swej społecznej roli, chce brać udział w walce o kulturę ludową. —

— Dajcie nam spokój — prosił łagodny Różewicz — w imieniu poetów podrażnionych negatywną oceną ich utworów. — W Polsce Ludowej nigdy nie będzie spokoju — odpowiada Żółkiewski, tym dowcipniej, że padło dopiero co słowo: oportunizm w stosunku do starszych „hermetycznych" poetów.

Pisał Czachowski przed wojną o tym, że poeci nie mogą już liczyć na szersze uznanie (poeta to oczywiście „duchowe osamotnienie", „wróg pospolitości", „czciciel artyzmu i bezinteresownego piękna"). „Tym bardziej godni są pochwały" — kończy.

Tym bardziej godni są politowania i pogardy odpowiedzieliby dzisiaj młodzi.

Ale zapewne zgodziliby się z nimi w większości pisarze starszego pokolenia, choćby ich praktyka pisarska, podobnie zresztą jak i wielu młodych przeczyła ideologii. Jastrun nawołuje do wyrażania wielkich, powszechnych uczuć, do wyrażania w poezji wiedzy o rzeczywistości, do wykorzystania prawa poety do moralnych ocen, radzi wyjście ze zwężonego do szczegółu spojrzenia na duży widok świata, jaki np. roztacza się w „Godzinie myśli" Słowackiego z błahego wspomnienia dzieciństwa. Postulaty te stawiane są przecież nie w imię poetyki klasycystycznej, do której uporu mogłoby się odnosić powiedzenie młodego Mickiewicza: „blokada rozumów", ale w imię tejże samej ideologii społecznej, która młodych zmusza do wystąpienia przeciwko poetyce klasycystycznej. Tkwi tu gdzieś nieprzezwyciężona sprzeczność epoki, sprzeczność między ideologią a praktyką obu zarówno pokoleń intelektualistów należących przecież do tej samej formacji społeczno-kulturalnej — do mieszczaństwa.

4.

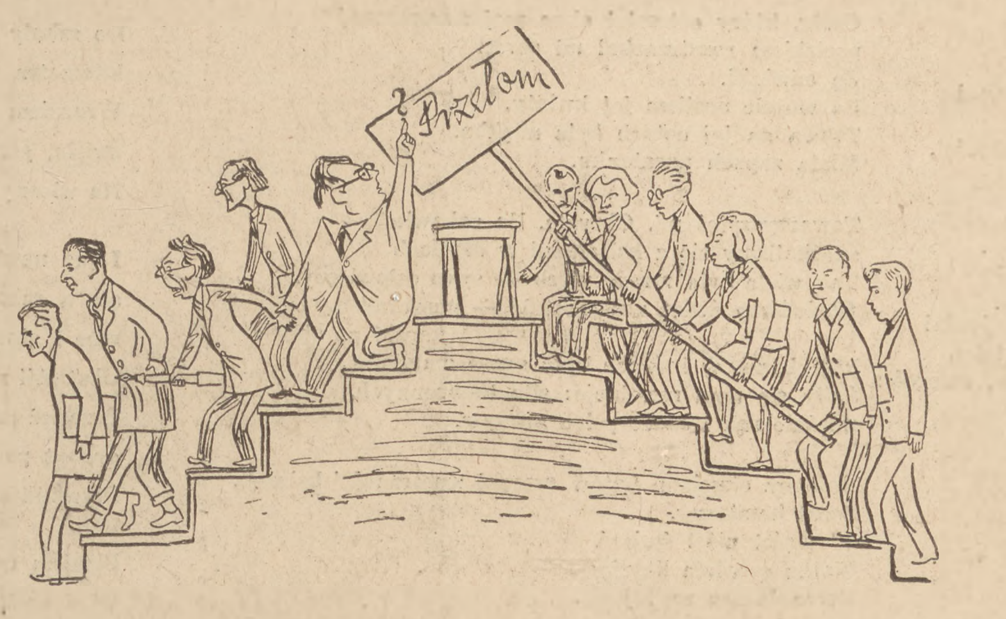
Krytyka radziecka określa swoją młodą powojenną poezję jako trzecie pokolenie poetów radzieckich. Kategoria pokolenia jest w tym wypadku jasno ograniczona. Określa ją nowy etap gospodarki i odbudowy państwa socjalistycznego oraz własna typowa biografia młodzieży, która przeszła przez fronty II wojny światowej i która, jak mówi nasz kolega-poeta, zdobywała magisterium karabinem żołnierza czy partyzanta. Taka jest legitymacja trzeciego pokolenia do twórczości: doświadczenia wojny i zgłoszenie udziału w odbudowie. To też wystarczy, że wiersze są szczere, patriotyczne, wzruszające, że malują los zwykłego człowieka w walce o wolność.

Dla trzeciego pokolenia poetów radzieckich ich poprzednicy bynajmniej nie mogą być antagonistami. Walka poetyk, jak widać najlepiej na przykładzie sporu naszych klasyków z romantykami, nigdy nie bywa czysto estetyczna. Opiera się o różnice filozoficzne.

I w naszym wypadku istnieje specyficzność biografii młodych. Wiersze ich pokazują przede wszystkim wojnę i posługują się dla wyrażenia jej deformacją (stąd epitet ekspresjonizmu), groteskowym grymasem i zwężeniem pola widzenia objawiającym się w bogactwie szczegółów, w zdrobnieniach, w głaskaniu „świata maleńkiego", gdy czuje się potrzebę poskromienia go. Pisze Zbigniew Stolarek:

„Chcę tylko z lipowej gałęzi
zerwać liść, do wielkości źrenicy świat zwęzić
i tak go grać na liścia krawędzi".

W wielu wierszach Kubiaka znajdziemy umyślną naiwność opisu, motyw prowincji, miasteczka. Tadeusz Różewicz uprawia poetycką groteskę, nierzadko posługuje się żartem i drwiną. Roman Bratny widzi świat w dowcipnych pomysłach swej wyobraźni nie trudząc się odczytać go, u Ziembickiego słowa duże, nauczone u Miłosza: „I tak dzieje popłyną jak deszcz po żywicy" — dziwią się szczegółowo zarysowanym malowniczym obrazkom. Podobnie zresztą intelektualny po



rys. S. Cieloch

M. Jastrun, P. Hertz, A. Ważyk, J. Kott, S. Żółkiewski, J. Ziembicki, R. Bratny, K. Oleksik, A. Kamieńska, W. Woroszylski, L. Budrecki

Przybosiu — Jerzy Lau, często pieści się ze światem jak Przyboś w najsłabszych swoich nastrojowych wierszykach.

Po wojnie zjawia się nowy ton w poezji młodych. Jest to, o czym mówił w Nieborowie H. E. Michalski nie oceniając zjawiska, sięgnięcie do techniki reportażowej. Charakterystyczne są tu np. wiersze Julii Hartwig drukowane w „Kuźnicy", w których przewija się wielu ludzi zwykłych, powszednich: chłopców, inwalidów, staruszków, zakochanych. Podobnie Jacek Bocheński zauważa dopiero teraz przechodniów, postać zresztą banalną chłopa-kosiarza, robotnika, wprowadza spotkanych konkretnie ludzi:

„Na grobie siedzi stara przekupka z Żelaznej
i podgiąwszy pod siebie grube, gołe nogi,
sprzedaje kalafiory".

Zdawałoby się, że jest to mocno zapóźnione zjawisko — bo przecież pozostając ciągle na gruncie polskiej literatury — mieliśmy już swojego Or-Ota od opiewania drobnomieszczaństwa.

A jednak w tej formie objawia się dziś najlepiej polityczność młodej poezji. Objawia się ona w dojrzeniu zależności wzajemnej ludzi. Na ich pospolite zajęcia pada powaga ustroju, w którym się poruszają. Przekupka Bocheńskiego i ślizgający się na ulicy chłopiec w wierszu Julii Hartwig są świadkami i (aby zinterpretować ton optymizmu) szczęśliwymi uczestnikami politycznych przemian światowych.

Wspomniano już także o próbach unowocześnienia poezji przez wprowadzanie do niej nazw instytucji charakteryzujących nowy ustrój, nazwisk robotników-rekordzistów itp. Ale od wszystkich zapędów nowatorskich, od prób samodzielnych silniejsza jest obawa wyrażona w dyskusji przez Laua — obawa „przed upadkiem sztuki". Upadek sztuki znaczy tu coś określonego — zagubienie więzi z poezją francuską okresu surrealizmu. — Znaczy to także zabicie w sobie mieszczucha — dopowiada Żółkiewski, który właśnie przed godziną interpretował artykuły literackie Lenina.

5.

Zdaje się, że nie ma zasadniczego sporu ideologicznego między starszym pokoleniem poetów a pokoleniem młodych. Przecież korzystając z przytoczonej interpretacji Lenina już partyjność pisarzy gwarantowałaby wspólny front literacki. Tak w Związku Radzieckim trzecie pokolenie w sposób naturalny luzuje poetów przedwojennych.

Na gruncie ideologii ludowej sprawa pokoleń postawiona została jasno w ubiegłym roku na zjeździe pisarzy „Wsi" w Rytwianach. W prozie, publicystyce i poezji zarysowały się wyraźnie trzy pokolenia. Ich działalność pisarską charakteryzują wielkie różnice w zakresie obejmowanych problemów i umiejętności posługiwania się środkami literackimi. Różnice te wynikły jednak nie tyle z różnych poetyk, z różnic ideologii, bo ta stanowiła pewien ciąg rozwojowy, ale z odmienności zadań, jakie rzeczywistość historyczna przed każdym pokoleniem stawiała. Hasło oświaty ludu było mglistym programem wobec aktualnego zadania warstwy chłopskiej: kształcenia specjalistów i fachowców na wszystkich stopniach zawodów. To też grupa ideologów wsi, to znaczy po prostu grupa inteligencji chłopskiej musiała się nierównie bardziej wyspecjalizować, wykształcić, przestać być inteligencją chłopską, to jest wejść w ściślejsze i rozleglejsze kontakty społeczne z innymi grupami.

Zadania polityczne, społeczne, intelektualne kształtują pokolenia inteligencji.

W tym aspekcie spór między młodymi i starszymi pisarzami nie powinien być przez tych ostatnich zlekceważony. Ich młodość poetycka postawiła niegdyś przed nim zadanie: świat upiększać. Robią to dobrze. Przyłączają się do nich niektórzy młodzi. Znajdują uznanie i zachętę, jak Zygmunt Radek. Ale sfora literackich „dzikusów", którzy może nawet nie czytali w oryginale Jacoba i Supervielle'a uparła się, że funkcja poety jest funkcją działacza kulturalnego, że zamiast o posągach starożytnych, laurach i Homerze — trzeba pisać o elektryfikacji, sublimować i asymilować do języka literackiego pojęcia z gazet i sloganów.

Cóż trudno się porozumieć w kraju, w którym wszyscy godzą prostym sposobem formalistyczne kategorie ocen literackich: dobre, złe, liche z wyznawanym postulatem „zabijania mieszczucha", czyli wyrzekania się gustów opartych o czysto estetyczne kryteria.

Między grupą młodych poetów „Wsi", o której pisał niedawno J. A. Król a grupą poetów „warszawskich" zachodziłaby bliska problemowa zgodność. Choć wiersze młodych chłopów może często surowsze przedstawiają także w większości inne poetyckie życiorysy. Zresztą te życiorysy, zdaniem Króla, wnoszą w treść poezji istotną zmianę — wnoszą nowe doznania społeczne. Cokolwiek powiedzielibyśmy na ten temat, będą to sądy mgliste i uproszczone. Doceniamy wszyscy trud intelektualnej poezji Jastruna, która zdolna była do moralnego skwitowania doświadczonej przez poetę głęboko historii. A jednocześnie zdajemy sobie sprawę z naglącej potrzeby zmiany funkcji i kształtu poezji.

Jeżeli warto jeszcze być poetą, jeżeli nie ma to być czynność znoszona pobłażliwie tylko w imię dawnych "europejskich" tradycji, trzeba przywrócić poezji proste funkcje: przydatności kulturalnej, wzruszania. Sprawa nie zamyka się w obrębie polskiej literatury, sięga problemu światowego kryzysu poezji. Młodzi pisarze z wdzięcznością przyjmują rady i opiekę ministerialną, ale bodaj najskuteczniej nieborowski zjazd młodych objawił się przez wzmożoną świadomość trudności i zadań.

6.

Idea kształcenia młodych pisarzy i państwowej opieki nad nimi jest nowoczesna, z pewnością będzie rozwijana i być może zmieni się w instytucję stałą. Ideologiczną podstawą takiej instytucji byłoby niewątpliwie zdanie wypowiedziane w Nieborowie przez Stawara: istnieje wyraźna tendencja do rozszerzania się kultury; literatura musi ją podtrzymać. Aleksandrynizm, bizantynizm zginęły dlatego, że nie były wrośnięte w społeczeństwo, że były powierzchniowymi prądami górnych warstw społecznych. Można twierdzić, że młodzi pisarze współcześni o wiele silniej od młodzieży innych pokoleń zdają sobie sprawę z tego, że rzeczywistość kulturalna jest dla nich i ich twórczości zasadnicza i sprawcza, nie zaś jakieś sfery wiecznego ducha i piękna. Wiedzą oni, czego nie pojmowali szlachetni nowatorzy awangardy, że poezja nie staje się w retortach prywatnych, technicznych prób, że liczba nakładów czasopism kolportujących wiersze, rodzaj ich odbiorców są dla poezji decydujące. Z kryzysu liryki nie wyjdzie się dopóty, dopóki nie zdobędzie się nowych terenów jej eksploatacji, jak mówił Wat o jakimś momencie historycznym rozwoju powieści. — Nie istnieje autonomiczny język poetycki — powiedział Jastrun. Najbliższe zadania poezji to upolitycznić ją, nasączyć treściami logicznymi i powszechnymi. Można sądzić, że młodzi za słabo w stosunku do swych przekonań zaakcentowali w tym miejscu zgodność z poglądami Jastruna.

Młodzi pisarze rozumieją przeważnie, że rola ich jest rolą ideologów społecznych, stąd może ton publicystyki w ich próbach, publicystyki często jeszcze zbyt uproszczonej i łatwej. Odczuwają oni potrzebę przełamania dotychczasowej kastowości grupy intelektualistów przez szersze powiązania społeczne. Mówi się o drugim zawodzie pisarza, o otwierających się placówkach działania społeczno-kulturalnego.

Młodzi poeci wiedzą, że o przełomie literackim dziś można mówić tylko mówiąc także o przełomie kulturalno-społecznym. Jest to wiedza cenna, ale i niezwykle obciążająca. Grupa, która będzie mogła poszczycić się dokonaniem literackiej rewolucji, będzie musiała być przede wszystkim dojrzała ideologicznie a kto wie, czy jedna lekcja żywej historii i jedna lekcja Żółkiewskiego wystarczy... Ale H. E. Michalski, opiekun młodych pisarzy, wierzy optymistycznie, że jesteśmy w literaturze p r z e d p r z e ł o m e m.

Anna Kamieńska.





Mieszkańcy Rytwian i okolicy słuchają recytacji poetyckich pisarzy „Wsi".

W I E R S Z E

Roman Bratny

NA PIĘCIOLETNI PLAN ELEKTRYFIKACJI

Gwiazda się w chmurach jąka
— ale za nią krzyczy rzeczywistość:
uruchomimy nową elektrownię!
każda żarówka w oczach nam odczyta:

niech żyją analfabeci!
— ale byli, dziś ze słowami w oczach i na ustach!
Niech żyją kalecy!
którym brak trzeciej ręki do kielni i pługa!

Tak, bo najpierw idzie propaganda — uczciwa,
że najpierw trud narodu, a potem zapłata.
W stolicy dziś chałupy tylko słońcem kryte,
okna zimą bez szyb, bez mrozu — prosto w lato.

Tak bywa. Szyb brak, lecz łzami oczy oszklił
mróz, co bogatym w kwiaty białe zamalował szyby.
Tak bywa — na każdej kromce chleba kwitną osty,
że myślisz: pańszczyźniany czy żytni?

Słuchajcie! — nie patrzcie nocą w gwiazdy
— jeśli nie ma elektrowni — będzie,
jak jest ciemno będzie jasno,
mróz nam na stalowo zahartuje ręce.

Ta gwiazda będzie ostoją ciemności,
bo światło z pierwszej elektrowni uruchomionej
biec tam musi lat całe miliony,
gdy tu wybrukujemy światłem piąty rok wolności.

Klemens Oleksik

CODZIEŃ

Codziennie świst tramwajów na wychłódłej jezdni
budzą płuca fabryk: syreny. Miasto nabiera tchu.
Kiosk zakwitł gazetami: idą z pięter, z bram, dworców
po najświeższy dziennik.
Puls świata pachnie farbą drukarską:
U nas Pstrowski zakasał rękawy
i na lśniącej ścianie węgla
wykuwa swój czarny rekord.
W miasteczku
Piotr Grankowski uśmiechnięty listonosz
wyszedł na rejon.
Pociąg pośpieszny wsparł się kitą dymu o schylone
Maszynista pokonał ostatni semafor: niebo
w piekarni narodził się świeży bochenek chleba.

Tadeusz Sokół

ZARYS

...Uszyła ci koszulkę z przędzy,
utkała majteczki z lnu.
Gliniane ptaszki fruwały z twej ręki.
Chrystusiku z pierwszych opowieści,
kolego ze snów.
Pamiętasz pierwsze łuki strugaliśmy w lesie
z jałowców, gdzie leśniczym był święty Józef
z wąsami mojego tatusia.

Minąłem ćwierć wieku życia.
Znam „Kapitał" i kłamstwa historii.
Jestem marksistą.
Robotnik podawał mi dłoń.
Żołnierz karabin.
Sześć lat cudzego życia.
Brat zginął.

Spotykaliśmy się kolego Chrystusie
na drewnianej huśtawce przy szopie:
dwaj złotowłosi, kędzierzawi chłopcy.
Razem szliśmy przez łąki nad Kamienną —
do Jerozolimy z Emaus.
Matkę mieliśmy jedną.

Czołg, który ostrzelał okna mej narzeczonej
pociskiem rozstrzaskał mi serce.
Ją odwieźli.
Po wojnie nosiłem jej kwiaty.
Trawa na jej ustach była miękka.
Miała zapach pocałunku.

Towarzyszyłeś mi, Chryste. Po zabawie
spotkaliśmy się z książkami w dłoniach.
Tak wiele było rzeczy złych — synu człowieczy.
Chcieliśmy świat uszlachetnić — puszczaliśmy
kaczki po stawie
kamykami, w których były nasze marzenia.
Śniły się nam rewolucje: siła bezbronnych,
mięśnie rąk i kosze pełne pieczyw.

Żołnierz okuciami butów szarpał wnętrzności książek.
Szedł kamienny.
W pięści niósł śmierć.
Matka szeptała litanię:
Serce Jezusa zmiłuj się...
Miała siwe włosy.
Włosy we krwi.

Zbigniew Stolarek

POLANA

Przyjdą kiedyś... Popatrzą... Nie będą wiedzieli nic...
Choćby księżyc tak samo noc światłem po szczyty sosen budował
Prężnej radości nocy i dni nie pojmą,
choć im płuca napadnie ta sama, cierpka woń sosnowa.

Tu był więcej niż dom; jak korzenie wrośliśmy w tę ziemię.
Byliśmy my — i był las. Sprzymierzeni!
W mroku drzew strzały mocniej biły wrogom w piersi;
Był las — i byliśmy my: leśni!

Pamiętasz?... Tu, gdy marszem zdławiony w odpoczynek ległeś,
dnie łasiły się wrzosem i zapachem świerków.
Tu były płuca lasu; tu oddychał niebem
— — tę polanę pamiętasz?...

Marian Narcyz Listowski

NOC

Do szkoły miałem sześć i pół
kilometra rannej zadymki.
Wracałem nocą z głową w dół
zwisłą, głodny do kartoflanej rynki.
Na wiosnę w błocie rozlazły się drewniaki.

I już nawet los nie byłby zły taki,
ale w szkole dostałem laską w plecy,
ręce i głowę osiemnaście razy mocno.
Obst zbił nas za „Jeszcze Polska"... jak Niemcy.
Przecież gdy przyszła zemsty noc, to
granat poszli mu rzucić chłopcy przez okno
Przestaliśmy do szkoły chodzić odtąd.

Pisałem wiersze i nocne trzymałem warty.
Wieś nuciła piosenki w dębowym sadzie.
Był blisko, pełen chłopców co jak czarty
z akcji jutrznią wracali, usypiali na dzień.

Jan Aleksander Król

CZŁOWIEK TO FRAGMENT HISTORII (II) *)

(Drugi list otwarty do Dr Szymona Starkiewicza, twórcy Górki, sanatorium społecznego dla dzieci gruźlicznych w Busku - Zdroju)

ODKRYCIE JUDYMA I JEGO BŁĘDY

Drogi i Szanowny Doktorze!

Pzypomnijmy sobie referat, jaki wygłasza Judym w kole warszawskich eskulapów. Judym przywiózł z Paryża dwie informacje. Pierwsza — o postępie w higienie. Są nowe środki dezynfekcyjne i nowe metody zapobiegania chorobom. Nowa medycyna kładzie nacisk na higienę. Jej czysto warstwowe i produkcyjne hasło brzmi: leczyć, tzn. **stwarzać społecznie powszechne warunki, uniemożliwiające powstanie choroby.** To się zebranym nawet podoba. Nowe odkrycia, nowa teoria. Ale Judym na tym nie kończy. **Zmiany w technice medycyny wymagają zmian w stosunkach społecznych.** Dlatego druga informacja Judyma dotyczy „motłochu paryskiego“, „rezerwowej armii przemysłu“. Dlatego ją dojrzał. W niej bowiem gnieździ się siedlisko chorób. Wieczne zagrożenie. Przez nią sam proces leczenia przypomina ucinanie głów hydrze, wciąż odradzającej nowe. Wniosek narzuca się sam: trzeba leczyć biedotę. To jest powołaniem lekarza. Ale to się już eskulapom nie podoba. Podawali wszak do „Tygodnika Ilustrowanego“ artykuły o „Towarzystwie Dobroczynności w Warszawie“ albo o „Szpitalu Dzieciątka Jezus“. O Szpitalu? W ciągu roku przewinęło się 7000 chorych, umarło 950. Rozdano na wykarmienie kobietom wiejskim 5000 niemowląt (podrzutków), starszych pozostało 400, położnic 650. Budżet roczny szpitala 100.000 rubli. Oto granice społecznej medycyny. W tych granicach obracają się eskulapi warszawscy. Judym wskazuje im na sprzeczność, jaka narasta pomiędzy nową techniką medycyny a stosunkami społecznymi. Dyskutanci odwracają zagadnienie. To przedstawiona przez Judyma technika higieny popada w sprzeczność z panującym porządkiem społecznym, a tego porządku naruszać nie należy. „Autor odczytu narzuca lekarzowi dzisiejszemu obowiązek ulepszania stosunków społecznych. Jest to pretensja dzika“. „Nie wiem dlaczego lekarz miałby być wykluczony od uczestnictwa w podziale tych zresztą marnych bogactw tutejszego padołu“.

Doktorze, przyjrzyjmy się błędom Judyma.

Pierwszy. „Umiemy — wymawia lekarzom — pilnie tępić mikroby w sypialniach bogacza, ale ze spokojem wyłączamy z zakresu naszego widzenia fakt przemieszkiwania dzieci pospołu z prosiętami. Któryż z medyków tego wieku zajął się higieną hotelu Château-Rouge? Kto z nas tu w Warszawie wdał się w to, jak mieszka rodzina żydowska na Parysowie?“

„Zamiast ująć w ręce ster życia, zamiast według praw nieomylnej nauki wznosić mur odgradzający życie od śmierci, wolimy doskonalić wygodę i ułatwiać życie bogacza, ażeby pospołu z nim dzielić okruchy zbytku. Lekarz dzisiejszy — to **lekarz ludzi bogatych“.**

Ale Judym na takich lekarzach chce budować reformy. Do nich apeluje: „Czyż nie jest naszym obowiązkiem szerzyć higienę tam, gdzie nie tylko jej nie ma, ale gdzie panują stosunki tak okropne?“

Błąd drugi: Nie chcą lekarze zrzec się pokaźnych dochodów — nie muszą. Tego, co do nich należy, mogą dokonać nie tracąc na pugilaresie. Tworzą przecież **stan!** To jest argument Judyma.

„Stan lekarski ma obowiązek, ma **nawet prawo**, zakazać w imieniu umiejętności, ażeby chory wracał do źródła zguby swego zdrowia“ (mowa o fabrykach, gdzie szkodliwe dla zdrowia rodzaje pracy wywołują zawodowe choroby). „My lekarze mamy wszelką władzę niszczenia suteryn, uzdrowotnienia fabryk... Gdybyśmy tylko chcieli **korzystać z przyrodzonych praw stanu, musiałaby nam być posłuszna zarówno ciemnota, jak siła pieniędzy“.** Ten argument kładzie Judyma. Naprzód uprzytomnił lekarzom, korzyści, jakie czerpią w ustroju kapitalistycznym, teraz uprzytamnia klasową zależność ich pozycji społecznej i ekonomicznej od tegoż ustroju. Postęp medycyny to część składowa postępu techniki produkcji. W głównych gałęziach produkcji panuje już (rok 1900) forma pracy uspołecznionej. Ale stosunek do środków produkcji jest nadal sprzeczny z charakterem produkcji. Są ich właściciele i wywłaszczeni. Lekarze, słuchający Judyma, mają za sobą r. 1892 (błyskawicę rewolucyjną „Proletariatu“) przed sobą r. 1905, wiedzą czym to pachnie, kiedy robotnicy zaczynają sobie zdawać sprawę ze społecznego charakteru produkcji fabrycznej.

Judym pokazuje im nową technikę medycyny, która wymaga zastosowania **powszechnego.** Przyjąć ją, to znaczy dołączyć się do tych sił społecznych, które w starej formacji ustrojowej warunkują jej upadek, warunkują zatem przekreślenie również „uczestnictwa lekarzy w podziale tych zresztą marnych bogactw“. W czyim imieniu przemawia Judym? Czy ma pełnomocnictwa z tamtej strony barykady? Czy ich straszy tamtymi siłami? Wtedy — wartoby się może zastanowić. Bronić starego porządku czy pójść na układy z rewolucją? Ale Judym — pajac — na kogo? na **stan lekarski** powołuje się, na jego **„przyrodzone prawa“?**

Reformator! Ci starzy lekarze wiedzą dobrze, że przyrodzone prawa ich stanu, są właśnie kapitalistyczne: podskubują bogaczy, którzy zawłaszczają dochód z pracy proletariatu, ale dlatego nie leczą biednych, nie leczą **społeczeństwa.**

Trzeci błąd. Lekarze bronią się świetnie. Pełnych konsekwencji społecznych nie chcą wyciągać z narastających zmian w technice medycyny. Pozory zachować, owszem. „Czy w istocie tak źle jest z nami? Oto powstają wystawy higieniczne, towarzystwa przeciwżebracze, urządza się przytułki noclegowe, funduje kąpiele dla ludu“...

„Fundowanie kąpieli dla ludu przez osoby postronne, przez filantropów, uważam — odpowiada Judym — za dążność chybioną“.

A przez kogo?

„Przez tego, w czyim interesie potem i brudem okryli się ludzie“. Zatem, przez fabrykanta!

„Ale kto ma nastawać, kto? Jaki organ, jakim sposobem?“

„My lekarze! My sól ziemi, my rozum, my ręka kojąca wszelką boleść“... „Kpisz pan czy o drogę pytasz!“ Judym jest skompromitowany. I słusznie. Odsłonił ostatnią kartę. Jeśli fabrykanci powinni dbać o zdrowie robotnika tzn. wierzy, iż między ustrojem kapitalistycznym a osiągniętym rozwojem techniki produkcji (w niej medycyny) nie ma zasadniczej sprzeczności. Gdzieś mu się po drodze argumentacji — rozpłynęła. Fabrykanci pod wpływem stanu lekarskiego i... stanie się „znakomita idylla“, kpią lekarze. To nawet nie ich przeciwnik. To bezradny utopista.

DROGI DO WIELKIEJ PRZEMIANY

Żeromski utopił swoje największe — historyczne — odkrycie. Dla czytelników został patos zdań wymawianych jak przykazania: „Praca nasza jest to walka ze śmiercią. Co może się porównać z pracą lekarza?... Życie nasze całe składa się z pasma poświęceń“. Te przykazania pogrzebały dojrzałą już wówczas socjalistyczną prawdę, jaką wyrażają informacje paryskie Judyma. Pogrzebał ją sam Judym, choć z niej rozwinęła się jego etyczna histeria. Bo skąd nagle ta wielka odpowiedzialność zawodowa i misja społeczna, jakiej mało co może się równać? Tylko stąd, że zaostrza się u końca w. XIX sprzeczność pomiędzy osiągniętą techniką medycyny a stopniem udziału społecznego w jej usługach.

Medycyna wymaga już powszechnego, planowego zastosowania. Lekarz staje przed społecznym opanowaniem choroby, a nie indywidualnym. To jest wewnętrzny postulat samej medycyny. Ale jest ona równocześnie zjawiskiem społecznym i zależy od ustroju. A ustrój na to nie pozwalał. Taki jest problem „Ludzi Bezdomnych“.

Jak go rozwiązuje dr. Judym? Fatalnie, to znaczy nie rozwiązuje i dlatego to rośnie z każdym rozdziałem beznadziejna, tragiczna atmosfera książki. Błędy Judyma wskazują, że ani on, ani Żeromski ustroju kapitalistycznego nie odrzucali. Dlatego nie mogło być mowy o żadnym gwałtownym zniesieniu sprzeczności pomiędzy możliwościami medycyny a jej w doświadczeniu społecznym, nieobecnością. Rwetes Judyma podniesiony jednak został dla osiągnięcia natychmiastowej, wielkiej przemiany. Ale pole działania ograniczył do środowiska inteligencko-lekarskiego, środowiska wyhodowanego przez kapitalizm, od niego brało ono naukę, kliniki, gabinety, funkcję i pozycję społeczną.

Dla wielkiej przemiany istniały tylko dwie drogi: ruch rewolucyjny, który zagrażał ustrojowi, podtrzymującemu te sprzeczności i ruch zawodowy proletariatu, który wywalczał robotnikom płace, czas pracy, umowy zbiorowe uwalniał dzieci od zatrudnienia, wywalczał ubezpieczenia i ubezpieczalnie.

Jeden i drugi ruch zmuszały kapitalistów do filantropii. Niektóre jej postacie stawały się zalążkami sił, przyśpieszających rozsadzenie ustroju. Do takich można zaliczyć ubezpieczalnie, szpitale i sanatoria.

Judym chciał, aby „stan lekarski“ ulepszał stosunki społeczne. A to strajki i manifestacje klas ciemiężonych wymuszały na przywłaszczycielach ów nikły procent szpitali, ambulatoriów, badań fabrycznych, ubezpieczalni — nikły, ale realnie uderzający w „stan lekarski“. Na tych przyczółkach medycyny, działającej zgodnie z jej postępem technicznym, rozłamywał się „stan lekarski“, dzielił społecznie, wiązał z drugą stroną barykady, dawał się pozyskać, dawał się rozpalić do założenia jeszcze jednego przyczółka dla... okrążenia kapitalizmu.

Wszystkich społecznych bohaterów Żeromskiego urodziła ta sama sprzeczność występująca między techniką produkcji a społecznymi jej stosunkami. Historia Judyma na wąskim odcinku gałęzi produkcji i usług: medycyny, najwyraźniej może na to źródło wskazuje, ale tak on, jak i Nienaski, czy Przełęcki kończą podobnie — nieudałymi osiągnięciami: zaczynają i porzucają. Co gorsza, większość z nich ma fakultety, specjalności a rzucają się na roboty o wiele poniżej ich umiejętności, na szkółki, mleczarnie. Zdwaja się dyletancki charakter ich robót i fiasko dyletantów. Nawet opanowany zawód chwieje się im w rękach i traci swą moc i użyteczność. Tę chorobę inteligencką śledzimy od dawna. Chałubiński przestał stawać oko w oko z chorobą. Biegański uległ „szarlatanerii czułostkowości“ w medycynie.

Dlatego paryskie informacje Judyma mogły być poprawnie sformułowane tylko w języku socjalistycznym. I wtedy miałyby praktyczne przedłużenie albo w ruchu rewolucyjnym albo w robotniczych związkach zawodowych. W języku inteligencko-moralistycznym praktycznego rozwiązania nie było.

ODCHYLENIA OD MISTRZÓW

A jakie były Wasze dzieje, Doktorze? Osaczyłem Was wszystkimi możliwymi wpływami, jakie wówczas na młodego lekarza mogły oddziaływać: PPS., Chałubiński, Biegański, Brudziński, Żeromski. Rozumiem, dlaczego Żeromski wywarł na Was wstrząsające wrażenie. Można było stać jak najdalej od rewolucyjnego nurtu robotniczego, można było nabożnie gubić się w zaklinaniach Chałubińskiego i Biegańskiego, ale po raz przeczytanej powieści o „Ludziach Bezdomnych“ rozjaśniały się mroki, leżące u podstaw, pogłębiającego się z końcem XIX w. dramatu medycyny. Lekarz w swoim zawodzie stawał teraz wobec tego samego problemu, jaki sygnalizowały strajki robotnicze i folwarczne. Krążyła wśród robotników popularna, o wielu wydaniach broszurka pt. „Kto z czego żyje“ — popularyzacja teorii wartości Marksa, opracowana przez S. Dyksztajna. Dla inteligencji zrozumiały był inny wykład, inna popularyzacja. Czy zdawaliście sobie sprawę Doktorze, jak bardzo „Ludzie Bezdomni“ nie są powieścią? „Membra disiecta“. Zszyte w jedną całość: referaty, pamiętniki, liryczne zwierzenia i romans. Pozór jedności nadawała im wspólna osoba bohatera. Mówiło się i mówi jeszcze, że to zła powieść. Ale warto powiedzieć, że to świetna powieść złego, poszarpanego życia. W formie tej quasi — powieści wyrażał się odchylony od normy mieszczańskiej los inteligenta bez przydziału.

Dlaczego na Zachodzie rozwija się wówczas medycyna? Pełniejszy, rozwinięty kapitalizm tworzy tam szerszą i bogatszą bazę społeczną dla zastosowania postępu technicznego nowej medycyny. Charakterystyczne są etapy tego postępu: Paryż — Wiedeń — Berlin. Rok 1870. Klęska Francji, kwietyzm mieszczański umiejscawia się teraz „an der schönen blauen Donau“. Wkrótce doczekamy się Freuda. W Niemczech rozwój gospodarczy, rozmach przemysłu chemicznego. Na zachodzie zmianom w technice medycyny towarzyszyły na tyle jeszcze duże kapitalistyczne rezerwy finansowe i społeczne, że proces wzrastających jednak sprzeczności między postępem medycyny a istniejącymi stosunkami społecznymi (przykładem paryskie obserwacje Judyma: nędza rezerwowej armii przemysłu) nie stawał się w takim stopniu widoczny **w samym lekarskim zawodzie**, jak u nas w kraju o niedorozwiniętym kapitalizmie. Z trzech Waszych mistrzów, Doktorze nie Chałubiński, nie Biegański, a tylko Brudziński nie staje bezradny, jako lekarz. On bowiem otrzymuje warsztat, zgodny z postępem techniki lekarskiej — całe kliniki, — filantropijny dar od polskiego stanu posiadania.

A Wy, Doktorze? Los rzuca Was na Śląsk. Leczycie w Dąbrowie Górniczej i Sosnowcu. Przez piętnaście lat zapisujecie lekarstwa na gruźlicę, serce i choroby żołądkowe. Z każdym rokiem wystawiacie recepty w poczuciu coraz większego wstydu i bezsensu. Robotnicy z Waszymi lekarstwami wracają do tych samych nor, do tej samej anemii z niedożywienia, do tej samej pracy bez odpoczynku. Ich choroby przenoszą się na dzieci. Rodzą się zagrożone bardziej od rodziców. Progu śmiertelności wielki ich procent nie przekracza. A te, które przekraczają nie stanowią wcale wyborowego materiału.

Gdybyście pisali pamiętniki, przypuszczam, że ich tytuł z pierwszych lat śląskich brzmiałby: „Fantazje i rzeczywistość“. Fantazje to bagaż wychowawczy mistrzów. Oni przegrali już u samych założeń medycyny. Przestawili walkę z chorobą na pomoc chorym. Ale jeszcze łopotały im skrzydła u ramion. Bliźniego widzieć w chorym! Tyle czułości włożyli w posłannictwo lekarza. Ich lekarz miał jeszcze chodzić od wypadku do wypadku. To był lekarz prywatny, **indywidualnie chorych.** A wyście tam, w Zagłębiu Dąbrowskim ujrzeli obraz chorób, jako obraz **procesu społecznego.** Więcej, jako **zjawisko klasowe.** Nauczyliście się charakteryzować klasę robotniczą (górnicy, metalowcy) w trzech słowach: w wyzysku, w nędzy, w chorobie. Choroba przestawała być dla Was wynikiem walki sił przyrody, nacierających na organizm. Dwa pierwsze składniki definicji klasy robotniczej to były właściwe siły, wywołujące przyrodnicze zjawisko choroby i to były siły, niedopuszczające do powszechnego leczenia „wypadków“ i prawidłowego rozwoju medycyny..

Gdybyście chcieli pozostać wiernym uczniem swoich mistrzów — stały przed Wami trzy drogi:

Pierwsza, jaką wskazywał Biegański: „Wierzę w postęp etyczny ludzkości, wierzę, że przyjdzie czas, kiedy między ludźmi nie będzie walki o byt, wierzę, że przepiękna myśl chrześcijańska miłości bliźniego nie pozostanie słowem“. Ta wiara idealistyczna, Doktorze, w Waszych śląskich warunkach... byłby to chyba **narkotyk**, stępiający w Was głos sumienia, które zadawało, bo musiało zadawać pytanie: a co na dzisiaj? A co ja, jako lekarz, mogę i powinienem osiągnąć, abym miał prawo tą wiarą sam żyć i innych ożywić? To wcale łatwo było ustawić się w cieniu kazalnicy, coprawda jako zbędny w rezultacie pomocnik księdza i na konto czasów szczęśliwych, które „kiedyś“ nadejdą, pomału filistrzeć.

Drugą wskazywał Brudziński. Zaczepić się o kapitalistyczną filantropię w dużym stylu. I tak myślę, że Brudziński na pewno Was wzywał do Łodzi albo Warszawy.. Możeby Wam oddał do samodzielnego prowadzenia klinikę w Lublinie? Ha, byliście już parę lat na Śląsku wśród robotników. I to nowe doświadczenie społeczne utrzymało Was w dystansie. Brudziński, zdając sobie sprawę czy nie zdając, był pełnomocnikiem przemysłowo-ziemiańskich sił społecznych. Kliniki przesłoniały mu klasowy obraz Polski. Widział ją oczami solidarysty, tak, jak tego sobie życzyli fundatorzy. „Chorowałeś na ojczyznę“ mówiono o nim po latach. „Nadał uniwersytetowi (którego był założycielem w Warszawie) znamiona polskie katolickie“. On sam o studentach - medykach mawiał tym dziwnym narrodowym językiem „orlęta moje“.

Z kółka Brudzińskiego (początek Towarzystwa Pediatrów Polskich) wynieśliście Doktorze poczucie odpowiedzialności równej Brudzińskiemu. Stał przed Wami obowiązek nie wejścia do jego sztabu, ale rozegrania samodzielnie bitwy, nie mniejszej, niż on ją rozegrał na filantropijnej fundacji kapitalistów.

I właśnie to śląska ojczyzna robotników umacniała Was w tym przekonaniu.

Trzecia droga — droga Judyma. Powiedzieć sobie — nie ma dziś dla lekarza warunków do zastosowania jego pełnej wiedzy i techniki medycznej. Zwymyślać stan lekarski a równocześnie zaapelować do niego aby zrealizował natychmiast artykuły wiary, jakie ułożył Biegański na bliżej nieokreśloną przyszłość. Wejrzeć w społeczny obraz chorób w kraju i krzyknawszy „to noc, bajoro bez wyjścia, jakaś nieuleczalna choroba“ uciec po prostu. I odtąd uciekać, zmieniać miejsca, zaczynać i nie kończyć.

Przeciw tej drodze, świadczą Doktorze, Wasze piętnaście bitych lat w Zagłębiu.

W ZAGŁĘBIU GÓRNICZYM

„Każdy talent, który **przejawił się w rzeczywistości —** pisał Plechanow w książce „O roli jednostki w historii“ — czyli każdy talent, który stał się **siłą społeczną**, jest wytworem **stosunków społecznych...** ludzie utalentowani mogą zmieniać jedynie **indywidualne** oblicze, lecz nie ogólny kierunek wydarzeń. Oni sami istnieją tylko dzięki temu kierunkowi, gdyby nie ten kierunek, nie przekroczyliby nigdy progu dzielącego możliwość od rzeczywistości“.

Doktorze! Ten kierunek, od jakiego Wy byliście zależni, wytyczył tylokrotnie już przeze mnie podkreślany konflikt ze stosunkami społecznymi produkcji, do jakiego doprowadził rozwój sił wytwórczych kapitalizmu pod koniec w. XIX w Kongresówce. Do-



Dr Szymon Starkiewicz w rozmowie z J. Fickiem, chłopem z pod Buska, który w r. 1918 stanął z nim do współpracy przy budowie sanatorium; on to założył najpierw polową cegielnię, a potem wielką cegielnię Hoffmanowską, pełniąc funkcję „Ministra Przemysłu“, jak mawiał żartobliwie Dr Starkiewicz.

*) P.: „Czy doktór Judym?“ „Wieś“ Nr 4 (133).

świadczyliście go na własnym odcinku — techniki medycyny.

Można się domyślać Waszych śląskich rozważań. Najpierw, pośród tych dziesiątków tysięcy górników i metalowców — szpitali i fachowców! Potem: ważniejsza nad leczenie dojrzałej, ostrej choroby, higiena życia mas robotniczych — ważniejsze **usunięcie warunków na choroby.** Lekarstwa, sondy, zastrzyki, chirurgia to siły fizykalne i chemiczne, dobre siły przyrody przeciw złym, rujnującym organizm. Ale kiedyście wychodzili z kopalń, z hut, albo z robotniczego przedmieścia — rysowała się w Waszym umyśle prostsza recepta. Tym ludziom inne mieszkania, inne pożywienie, inną ochronę i higienę pracy, inny czas pracy, odpoczynku, powietrza, słońca a na ostatek dopiero nas — lekarzy.

I w tym momencie łapaliście się, że receptę Waszą kreśli już nie tylko lekarz, ale również — rewolucjonista. Zapisać powietrze, zapisać słońce to wcale nie blaga. Zapisać dziecku mleko i jeszcze raz mleko! Ale na wykupienie takich lekarstw nie wystarczała dobra wola górnika, potrzebna była społeczna wola klasy robotniczej i chłopskiej i naszej, inteligenckiej.

Młody lekarz, wsłuchiwał się w odgłosy nabrzmiewającego konfliktu, który zapowiadał, że największym lekarzem będzie nowy ustrój. Zazdrościliście nieraz tym przyszłym lekarzom, którzy będą mieli szczęście składać swoje dalekosiężne projekty (naukowo uzasadnione!) bez popadania w konflikt z panującymi siłami społecznymi. Czyniliście poprawkę. Nowy ustrój to dopiero początek wielkiego dzieła **odpracowania niszczących warunków życia mas**, warunków budowanych przez stulecie.

I znów wracaliście myślą do waszego „dzisiaj". Pediatra — lekarz dzieci. Dobrze, czy źle? Ważna, czy błaha pozycja? Ach, Doktorze i ta nowa gałąź medycyny to znamię czasu. Wasze powietrze i słońce, przeszumiała ta idea przez Europę, stawiana tam ostrzej, niż u nas. W kraju udało się ją spłycić, obsunąć z torsu dorosłego robotnika do wysokości jego paroletnich dzieci. Filantropii odpowiadało hasło: nieśmy pomoc dzieciom. Nie brzmiało klasowo, nie odsłaniało ustroju. Ale wyście ważąc to kapitalistyczne ustępstwo, ten mieszczański sentymentalizm, rozkochany w małych murzyniątkach, a dorosłych obracający w niewolników, Wyście widzieli w tym obłudnym uznaniu praw dziecka — bombę, która rękami lekarzy i społeczników założona, wybuchnie w przyszłości przeciw ustrojowi.

Opieka nad dziećmi, to przecież obok słońca, dostatniego odżywienia, higienicznych mieszkań i warunków pracy — podstawowy punkt społecznej organizacji zdrowia. Robotnicy, zgłaszający się do Was, przynosili w sobie **historię choroby.** Sięgała ona w 90% dzieciństwa. A zdrowie dzieci to nie tylko sprawa czułostkowej filantropii liberalizmu, to także — **program państwa ludowego.** Śledzicie obliczenia prof. Wierzejewskiego: na 60.000 kalek w Polsce 80—90% byłoby od kalectwa wolnych, gdyby wcześnie, za młodu je leczono. Wczytujecie się w Pirguetowski system odżywiania; jakże stosunkowo tanio można hodować i rozwijać poprawnie młody organizm.

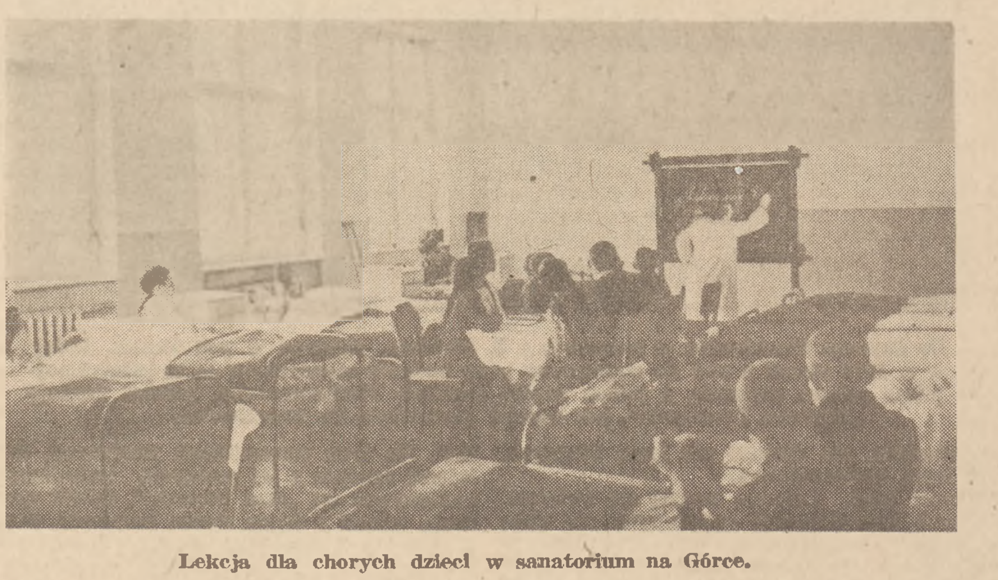
JAKO LEKARZ...

Doktorze, w czym się kryje tajemnica Waszego talentu, przez co staliście się **siłą społeczną?** Myślę, że dwa trzeba podnieść momenty. Osaczony warunkami społecznymi w Kongresówce pierwszych dziesiątków XX wieku, rozumowaliście **wprost przeciwnie do Judyma.** Ja jestem lekarz. Przede wszystkim lekarz! I na pytanie: czyś pan postępowiec, czyś pan rewolucjonista? — odpowiadam: sądźcie mnie po tym, czy zmieniłem narzędzia leczenia, czy zmieniłem organizację leczenia, czy wprowadziłem nowe metody, **nową instytucję leczenia,** jeżeli tak, to macie odpowiedź. **Zmiana techniki medycyny,** jako części sił wytwórczych, **zmienia realnie stosunki społeczne.**

Przecież to było wiadome, że Judym po powrocie z Paryża nie znajdzie społecznych warunków na maksymalne ambicje nowoczesnej medycyny. Książka Żeromskiego udawadniała to, co leżało w jej założeniu. Gdzie się Judym nie pojawił, czy to w kole warszawskich lekarzy, czy w uzdrowisku Cisy, czy w ambulatoriach fabrycznych na Śląsku, wszędzie to samo, konflikt nowej medycyny z panującą strukturą ekonomiczną i ustrojem społecznym. Judym opuszcza książkę przegrany po jednej i drugiej stronie. Judymom trzeba było dopiero dać uspołecznione warunki, a wtedy, nie zrzekając się tytułu „społecznika", byliby lekarzami. I dlatego w tych latach wpędzali oni inteligencję w błędne koło.

Doktorze, o jakżeście się Wy uparli. Moim zadaniem jest, aby bronią lekarza zmienić **indywidualne oblicze wydarzeń** w kierunku, jaki już im nadaje osiągnięty rozwój sił wytwórczych.

Drugi moment, to Wasz sposób rozwiązania tego historycznego zadania. Że nie łatwy, wskazują na to katastroficzne życiorysy bohaterów Żeromskiego. I tu trzeba podziwiać Wasz najżywszy związek z epoką, z jej materialnymi i społecznymi warunkami. Wychodziliście najpierw od warsztatu. Zawracaliście myślą być może do Chałubińskiego. Do jego dwu sławnych rodzajów klimatu — malarycznego i górskiego. To on na kilkadziesiąt lat i w Warszawie i w Krakowie wywołał panikę przed malarią. Każda gorączka była... malaryczna — w Warszawie zużyto nie mało tonn chininy. W Krakowie najpierw Przybyszewski, a potem Boy i to całkiem serio tłumaczyli i melencholię miasta i samobójstwo Bałuckiego malarycznym klimatem okolicy. Była to bujda. Żeromski tę właśnie fikcyjną sytuację klimatyczną wpakowuje w Cisy. Chałubiński odkrywa klimat zdrowia—Tatry. Ale wkracza do nich bez planu. Nie ubezpieczy górali i nie zabezpieczy uzdrowisk dla mas pracujących. Góralami jest zachwycony. Wydaje mu się, że są oni wytworem klimatu. Ani mu w głowie ich odludawiać, uzbroić w oświatę, w postęp techniczny i organizację społeczną na sukcesywne odparcie inwazji kapitalistycznego interesu. Nie przeczuwa tej inwazji, choć sam był właśnie różdżkarzem, który klasom posiadającym odkrył Tatry. Witkiewicz pisał pod koniec wieku XIX. że Chałubiński nie miałby co tu robić „ponieważ to co się z Zakopanem stało, jest bezwzględnie inne niż to, **o czym mógł marzyć".** Zabrano góralom powietrze, przemienione w uzdrowiska, wody lecznicze, sanatoria. Nie miały być dla nich, ani dla mas pracujących z nizin.



Lekcja dla chorych dzieci w sanatorium na Górce.

Coś tak taniego, jak powietrze i wody i tak zarazem drogiego, kiedy się stały łupem kapitalistycznej organizacji zysku.

To było dla Was Doktorze, poszukującego również tanich źródeł leczenia — ostrzeżeniem. Gdzie Dąbrowa — gdzie Busko? Ale prace lekarzy z XIX w. mówią Wam o cudownych własnościach źródeł siarczanych. Gruźlica kostno-stawowa, anemia, skrofuły, krzywica, reumatyzmy, kiła wrodzona, limfa, schorzenia układu nerwowego. Do tego dodać kąpiele słoneczne, odżywienie właściwe, krajobraz i wiedzę pediatry — wychowawcy a pozostanie tylko... postawić **sanatorium na szklanej górze...**

Oto punkt drugi. Od jego rozwiązania zależy i pierwszy. Bo przecież, Doktorze, chcecie sanatorium społecznego, „nie mającego na widoku żadnej materialnej korzyści", chcecie, aby w nim leczyły się dzieci najbiedniejszych warstw. Chcecie, krótko mówiąc, udostępnić nową instytucję (nowe narzędzie) medycyny nowym środowiskom i dla nich ją zabezpieczyć.

Startujecie, o Boże, mając 40 lat. Piętnaście lat marzeń, obliczeń, pewnie i wątpliwości i przygniatających doświadczeń w śląskiej rzeczywistości i wreszcie gromadzona latami energia eksploduje. Druga młodość! I tak jest wówczas naprawdę. Bo i to niech będzie powiedziane: Judymowi przeszkadza Joasia. Wy, kiedyś ojciec rodziny, teraz nowy los podejmujecie z młodziutką studentką, która w drodze do doktoratu, z Wami buduje i organizuje sanatorium.

Na czym opieracie pewność sukcesu? Na filantropijnej fundacji? Nie — to droga wzdychań Żeromskiego i szczególnej okazji Brudzińskiego. Dzieło jakie podejmujecie, to zamach na panujące stosunki społeczne. Po dwudziestu latach, umocnieni w posadach, będziecie grzmieć na całą Polskę, że trzeba dla chorych dzieci 33.000 łóżeczek, a jest ich, horribile dictu: — 3.000. Ale kiedy Wyście zaczynali, nie było ani jednego! Nie chcecie popełnić błędu Judyma. Trzeba zagrać na sentymencie społeczeństwa polskiego. „Wielce szanowni panowie Ziemianie i Mieszczanie..."

Gdyby w Waszym planie była droga Brudzińskiego, zaczynalibyście, jak to wskazywał Żeromski, od kapitalistów Lesów i Granowskich. Cóż znaczyły te 100.000 podarowanych koron, kiedy przedsięwzięcie szło w grube miliony. Sto tysięcy wraz z groszami wdowimi miały uczynić ruch około sprawy. Ta przychylna, (tak tania) opinia społeczna miała Wam pomóc w atakowaniu u zarania odrodzonej ojczyzny rządu, ubezpieczalni i sejmików. Wasze doświadczenie, ze Śląska było ugruntowane na przymierzu ze Związkami Zawodowymi robotników. Od r. 1906 — do końca 1907 Związek Metalowców w samej Dąbrowie Górniczej osiąga 1522 członków. Aresztowania przerywają legalne życie Związków na całe lata (1908 — 1913), ale znów odradzają się w 1913 r.

W Waszym przedsięwzięciu w Busku macie poparcie śląskich robotników, ich nacisk na magistraty i sejmiki. W Waszym planie leży oparcie sanatorium na spółdzielczych podstawach, gdzie w pierwszym rzędzie członkami byłyby społeczne instytucje: samorządy i ubezpieczalnie, a więc te, które z natury swej reprezentują interesy dołów społecznych i dają niejaką gwarancję selekcji wedle stopnia istotnych potrzeb z danego terenu.

Jest wreszcie trzeci tor Waszej realizacji. To Wasza wytrzymałość i budowanie własnych podstaw gospodarczych sanatorium. Brudzińskiemu fundatorka w 3 lata wystawia olbrzymi szpital, zaopatrzony w nowoczesne wyposażenie kliniczne. Wam upłynie 10 lat, zanim główny pawilon stanie pod dachem, choć po bokach zdążyliście rozsiać wiele domków, choć powstało z 2 ha ogrodu z biegiem lat 48-hektarowe gospodarstwo z blisko 2.000 drzew owocowych, choć wcześniej o 4 lata wystawiliście cegielnię Hoffmanowską (jedyna na kilka powiatów okolicznych) o produkcji 2 milionów cegieł.

Doktorze, a wybraliście górę żwirową i jałowcową, gromadzki serwitut, nieużytek kompletny. Po latach wybujały z jednej strony tysiące jabłoni, grusz i wiśni z drugiej tysiące sosen, brzóz i topoli; dała Wam ziemia u zbocza glinę, trysnęła góra jeszcze jednym źródłem siarczanym, a Wy pokryliście ją 30 budynkami, z których kilka jest paro-piętrowych. Tylko do dziś jeszcze nie macie na „Górce" mieszkania dla Naczelnego Dyrektora, tzn. dla siebie nie macie.

Ale kto prowadził taką politykę, że udział skarbu państwa i monopolów ograniczał do 10%, prywatnych wkładów do 7% a wiązał los sanatorium z Ubezpieczalniami Społecznymi (63%) i Samorządami (16%), to nic dziwnego, iż pierwszą była dlań sprawa dzieci robotników (40%), rzemieślników (15%), nauczycieli (13%). Tylko, jak skarżyłeś się Doktorze, dzieci chłopskich ledwie 2%. Było to wynikiem niedopracowania się przez ruch ludowy analogicznych organizacji i instytucyj społecznych, jakie wytworzył ruch robotniczy (Związki Zawodowe, Ubezpieczalnie Społeczne, społeczne wydziały sejmikowe itp.).

FAŁSZYWA LEGENDA

Doktorze, spowito Was legendą już w latach międzywojennych. Legenda czyniła Was **nowym świętym.** To była bardzo perfidna metoda. W tym stylu napisał Kisielewski (ojciec) w r. 1928 książeczkę „Czyn nie łza". Niestety, **on Was rozłzawił.**

„Specyficznie polska metoda pracy. W Polsce zbiera się w sobie wolę, sięga w głąb własnego serca i dobywa z niego siłę, która stwarza z niczego. Pod takimi warunkami marzenia stają się rzeczywistością...

„Konieczność stworzenia pałacu dla biednych, chorych dzieci, stała się jego zmorą, ideą natrętną, manią, losem. Zrozumiał to w jakiejś godzinie przełomu, powziął w tajemnicy postanowienie, ślubował sobie i zaprzysiągł, iż „chociaż nie rozporządza groszem własnym", niemniej pałace te dla chorych, biednych dzieci postawi, tam właśnie na tej Górce".

To jest język psychologii, namiętności i idealizmu. Udawadniano już nieraz związki naturalizmu z idealizmem. Wspólny im jest ahistoryzm: czas, stan sił wytwórczych, stosunków społecznych i człowiek, jako ich wytwór, nie istnieją w tych systemach. Zostałeś dlatego, acz polskim, ale **świętym,** Doktorze. „Głąb serca", „zebranie w sobie woli", „idea natrętna, mania", „godzina przełomu", „ślubowanie sobie" — i „pałac dla biednych, chorych dzieci" powstał. Szkoda, Doktorze, żeście nie żyli w XV w., albo chociażby na początku XIX w. Wszystkie przypisane Wam przez Kisielewskiego zabiegi można było stosować i w tamtych wiekach i nawet „pałac" było wówczas łatwiej wystawiać, ale czy wyliczone zabiegi pozwoliłyby nie tylko Wam, ale komukolwiek w Polsce, postawić wtedy nowoczesne sanatorium dla dzieci?

Ten rodzaj legendy miał przesłonić właśnie Wasze sanatorium, jako dziecko **konfliktu sił wytwórczych medycyny z kapitalistycznymi stosunkami społecznymi.** Miał ukryć tego sanatorium rodowód społeczno-historyczny i jego funkcję mobilizowania mas społecznych do stworzenia takiego ustroju, w jakim nie jedno takie sanatorium, nie dziesięć a sto co najmniej obsługiwałoby wszystkie chore dzieci w Polsce. Zostaliście, przedwcześnie świętym. To znaczy owiano Was kultem, którego powodu i treści nie umiano sobie nawet wytłumaczyć. I o to szło. Teoretycznie wszyscy możemy być świętymi („Sięgnąć w głąb własnego serca"), praktycznie — wiadomo — święci są nieliczni. Jeśli sanatorium, przepraszam — „pałac dla biednych, chorych dzieci", jest dziełem świętego cieszmy się, gdyby bowiem jego nie było i tyle byśmy nie mieli. A tymczasem Wy chcieliście bronią nowoczesnego lekarza zmienić tylko **indywidualne oblicze wydarzeń** w kierunku, jaki już im nadał osiągnięty rozwój sił wytwórczych. Dzieło w pomyśle zaczęte po roku 1900 ukończyliście (z grubsza) pod koniec II-ej Rzplitej.

Jan Aleksander Król

Wiersze hiszpańskie

Jose Bergamin

PARTYZANTKA*)

Wczesnym rankiem partyzanci
W lekki śnieg ją zakopali,
Krocie śniegu, ileż śniegu
Osypało na nią niebo.
I całunem przyodziało,
Biały kopczyk ułożyło...
I pomniczek z lśniących sopli
Wybudował nad nią zmierzch.
Cisza ją ukołysała,
Samotność ją przytuliła
I w bezkresnym śnie marzyła
O Hiszpanii swej...
A gdy będą szli po śniegu
Przez przełęcze partyzanci,
To już tylko echo znajdą,
Nikły ślad, daleki zew,
Czyste, święte jej pragnienia
Cel, co mroki rozpromienia,
Żywe hasło jej imienia,
Zmilkłych kroków szept.
Tędy ona szła, patrzajcie,
Niosła z sobą blask przedświtu.
Okrzyk jej pod niebo sięgał
Ziemia pomści ją.
Teraz w grobie opuszczonym
W miękki półmrok obleczona
Niby wiosna w sadzie śniegu
W białej głębi śpi.
A mgły szorstkie, a mgły nocne
Osnuwają niebo mocne...
Ale wiosna o d r o d z e n i a
Mgieł rozwikła zwój.
Wtedy wiośnie na spotkanie
Partyzantka inna stanie,
Na zwycięski bój.

Wolny przekład Tadeusza Chróścielewskiego.

*) Jest to końcowy fragment poematu poświęconego pamięci Zoi Kosmodemiańskiej.

Federigo Garcja Lorca*)

ROMANS O CZARNYM SMUTKU

Koguty szukają zorzy
Grzebiąc w obłoków zawojach,
Gdy schodzi z gór przygarbionych
Smagła Soleda*) Montoia.
Miedź rozpalona — jej ciało —
Ciemnością pustyni dymi
Piersi jej — twarde kowadła —
Pieśniami są okrągłymi.
— Soledo, czego ci trzeba?
Jesteś samotna wśród nocy.
— Wiem sama czego mi trzeba
I nie chcę twojej pomocy.
— Soledo, dziki mój smutek
Pędził, jak wściekła kobyła,
A teraz w morzu utonął,
Morze to jego mogiła.
— Nie mów mi, nie mów o morzu
Bo czarna trawa rozpaczy
Na ziemi gajów oliwnych
Po nocach w oczy mi patrzy.
— Soledo, ty jesteś smutkiem.
Cierpienie cię otumania
I łkasz cytrynowym sokiem,
Cierpkim od oczekiwania.
— O smutku! Biegnę szalona
I nie wiem czego tak, żal mi,
Wloką się moje warkocze
Od kuchni aż do sypialni.
O, smutku! Dziś się, ubrałam
W węgiel, i w mrok, i w żałobę.
O, świeże moje koszule!
Suknie do maków podobne!
— Umyj się wodą błękitną
I ucisz rozterkę swoją.
O, zaśnij moja Soledo,
Zaśnij, Soledo Montoio!
W dolinach śpiewają rzeki —
Huśtawki liści i wiatrów,
Nad nimi wznosi się księżyc
W wianuszku dyniowych kwiatów.

Wolny przekład Włodzimierza Słobodnika

*) Soleda — hiszpańskie imię żeńskie oznaczające smutek.

FEDERIGO GARCJA LORCA

Wybitny poeta hiszpański, Federigo Garcja Lorca, pochodził z zamożnej rodziny chłopskiej. Urodził się w roku 1899 w miasteczku Fuentenaceras. Od roku 1919 Lorca mieszka w Madrycie. Pisze i zdobywa tu szybko popularność. W roku 1920 teatr „Eslava" wystawia pierwszą jego sztukę „Czarodziejstwo motyla". W następnym roku Lorca wydaje pierwszy tom swoich wierszy „Libro de poemas". Książka ta ukazała się podczas najbujniejszego rozkwitu ultraizmu, który był pewną odmianą futuryzmu hiszpańskiego. W roku 1927 ukazał się drugi zbiorek jego wierszy „Pieśni", a w roku 1929 Lorca wydaje „Romanse cygańskie" (Romancero gitano). Wiersze te cieszyły się niezwykłym powodzeniem. Poszczególne romanse z tego zbiorku w tak wielkim stopniu zyskały sobie sławę pieśni ludowych, że lud hiszpański nie łączył ich z nazwiskiem autora, uważając je za twórczość bezimienną.

W roku 1930 Lorca wyjechał do Ameryki. Zwiedzając Kubę, przejął się poezją południowo - amerykańskich Murzynów i napisał „Sen czyli pieśni murzyńskie" odznaczające się niezwykle oryginalną formą. Lorca, gorący zwolennik republiki demokratycznej, dopiero wtedy wrócił do Hiszpanii, gdy tam ugruntował się ustrój republikański. Po powrocie do ojczyzny został dyrektorem teatru objazdowego, przeznaczonego dla chłopów.

Ostatnie lata swego krótkiego życia Lorca poświęca całkowicie teatrowi i pisze szereg świetnych sztuk poetyckich opartych na hiszpańskim folklorze. Do najpiękniejszych należy zaliczyć sztukę „Krwawe Gody". W sierpniu 1936 Lorca został zamordowany przez faszystów hiszpańskich. Pochowano go we wspólnej mogile wraz z innymi republikanami, rozstrzelanymi tego dnia.

ZAGRANICA LITERACKA

Francja

Krytyka egzystencjalizmu

Największą rewelację filozoficzną okresu powojennego jest niewątpliwie egzystencjalizm. Prąd ten — nie tu miejsce, aby osądzać czy był to przypadek, czy celowe rozdmuchiwanie sprawy, czy też egzystencjalizm rzeczywiście na to zasługiwał — stał się przedmiotem olbrzymiego zainteresowania intelektualistów całego świata, doprowadził do niesłychanie ostrej i długotrwałej polemiki w zasięgu międzynarodowym. Można już dzisiaj stwierdzić, że polemika ta nie zawsze potoczyła się właściwymi torami. Szczególnie krytyce egzystencjalizmu w Polsce i Zw. Radzieckim można by zarzucić pewną jednostronność i połowiczność. Ukazano — niewątpliwie bardzo trafnie i słusznie — egzystencjalizm w kontekście wydarzeń politycznych i procesów społecznych, wspaniale zinterpretowano wydźwięk społeczny, jego pozornie neutralnych akcesoriów jak np. rozpacz, pesymizm, zwątpienie, strach, niebyt itd., zbadano jakim elementem społecznym są twórcy i odbiorcy tej ideologii, komu zależy na jej rozpowszechnianiu, komu jest ona potrzebna i dlaczego. W wyniku tej analizy krytyka zarówno polska, jak i radziecka egzystencjalizm zlekceważyła i ośmieszyła. Niesłusznie.

Analiza socjologiczna egzystencjalizmu została przeprowadzona zgodnie z pewną przyjętą i ustaloną hierarchią wartości. Oceną wyprowadzona z założeń tej hierarchii wartości egzystencjalizm potępiła. Niestety, taka metoda miała jedną złą stronę: mogła przekonać tylko tych, którzy aprobowali tę samą hierarchię wartości. Nie stworzyła i nie mogła stworzyć żadnego punktu zaczepienia do dyskusji merytorycznej, której nie przeprowadzono. Co więcej: prawie nigdy nie spotykało się nawet obiektywnego zrelacjonowania oficjalnych wypowiedzi twórców egzystencjalizmu. Gdyby na tym polu wykazano merytoryczną niesłuszność egzystencjalizmu, wtedy można byłoby go potępić, ośmieszyć, zlekceważyć. Tymniemniej po tym co zrobiono, czytelnik wie, jak egzystencjalizm komentować, nie wie zaś, co to właściwie jest egzystencjalizm. Sam zaś Sartre, który oczywiście odrzucał oceny wartościujące swoich przeciwników, może uważać wszystkie tezy głoszonej przez siebie nauki za nieobalone. Podkreślam jeszcze raz: to co marksistowska krytyka egzystencjalizmu osiągnęła dotychczas, to, że wykazała symptomatyczność faktu, że w kraju o tak bogatych tradycjach rewolucyjnych i postępowych, jak Francja, mogła powstać ideologia anarchii ludzkiego działania, to, że wykazała specyficzność warunków politycznych i społecznych, w jakich egzystencjalizm powstał, było rzeczą słuszną i pożyteczną. Błąd polega na tym, że w zapale polemicznym zapomniano, że to jest dopiero połowa roboty.

Krytyka radziecka sprawę pozycji społecznej egzystencjalizmu traktuje bardzo jasno, otwarcie i z pewną brutalnością, na którą egzystencjalizm niewątpliwie sobie zasłużył. B. Pesis w artykule: „Literacko - filozoficzna parada Sartre'a", dopatruje się genezy egzystencjalizmu w bardzo konkretnych czynnikach politycznych: „Wiemy, że przy atomowej dyplomacji, metody szantażowania strachem przenoszą się łatwo z argumentacji politycznej na teren kultury". Pesis specjalnie akcentuje fakty zdrady, jakiej dopuścił się Sartre wobec najszczytniejszych tradycji własnego narodu: „Sartre ograniczony jest czarodziejsko - wąskim kręgiem ludzi oderwanych od współczesności, pozostających w odszczepieństwie i izolacji od narodu". Pesis całkowicie demaskuje egzystencjalizm poprzez skonfrontowanie go z komunizmem. Z jednej strony ukazuje twórczą odwagę ludzi walczących o lepszą przyszłość, z drugiej strony programowe tchórzostwo kapitulantów. Reasumując, Pesis stwierdza przejściowy charakter całego ruchu, wytworzonego i związanego nieodłącznie z pozostającymi w stanie absolutnego rozkładu pewnymi grupami burżuazji francuskiej.

Inny publicysta radziecki J. A. Frid w artykule: „Estetyka współczesnego dekadentyzmu" rozpatruje literaturę egzystencjalistyczną na tle dekadentyzmu, charakterystycznego dla pewnej części literatury zachodnio - europejskiej. Przyczyną tego stanu rzeczy jest wg. Frida oderwanie od zagadnień, nurtujących cały naród: „Współczesnej i zachodnio - europejskiej dekadenckiej literaturze — pisze Frid — brak jakichkolwiek związków z narodem; na masy ludowe nie ma ona żadnego wpływu". Frid jest zdania, że dekadenci francuscy, ani ich literatura bynajmniej nie odgrywają przodującej roli w życiu kulturalnym Francji: „Ciążenie współczesnej francuskiej studenckiej młodzieży ku marksizmowi — to zjawisko stokroć znamienniejsze, niż szum wywołany wokół filozofii Sartre'a, ostrożnie i złośliwie atakującej marksizm". Po przeciwstawieniu literaturze dekadenckiej literatury postępowej Frid stawia horoskop na przyszłość: „Jeszcze nadal będzie rozwijać się postępowa, pełna talentu literatura zachodu, bo twórcze możliwości narodu nie są wyczerpane. Twórczość zaś tych pisarzy, którzy świadomie i uparcie oddzielają się od narodu — rozwija się ułomnie; jest martwa i pozostaje w świecie niebytu, do którego tak dąży".

Jeżeli chodzi o krytykę egzystencjalizmu we Francji, to jest ona przeprowadzana zwykle łącznie z dokładnym zrelacjonowaniem stanowiska przeciwnika. W ostatnim numerze pisma „Civilisation" w tłumaczonym z włoskiego artykule: „Egzystencjalizm, kryzys i chrześcijaństwo" profesor uniwersytetu rzymskiego Enrico Castelli zajmuje się omówieniem prawej katolickiej odmiany egzystencjalizmu: „Egzystencjalizm prawicowy — konkluduje Castelli — jest rozmyślaniem o grzechu pierworodnym i o konieczności odkupienia, egzystencjalizm prawicowy nie jest niczym innym, jak tylko odnowionym potwierdzeniem filozofii chrześcijańskiej". I dalej: „W ostateczności egzystencjalizm teologiczny jest nową formułą filozofii rewelacji, która jest obecnie jedynie filozofią kryzysu".

Bardzo sumienną krytykę merytoryczną też ontologicznych Sartre'a z wykazaniem wszystkich ich niekonsekwencji przeprowadza również znany poeta francuski Pierre Emmanuel w piśmie „Fontaine" oraz Lucien Fabre w „Revue de Paris". Ogólnie można stwierdzić, że we Francji stan krytyki przedstawia się zupełnie odmiennie niż w Związku Radzieckim. Obok sumiennie przeprowadzonej krytyki merytorycznej, częstokroć, jak np. w cytowanych wyżej pracach, brak uwyraźnienia aspektu społecznego egzystencjalizmu. A to też niedobrze.

Witold Jedlicki

Anglia — USA

Co oznacza kult sadyzmu?

„Upiory nigdy nie czuły się tak dobrze, w literaturze angielskiej, jak obecnie. I to jest bardzo znamienne. Po wojnie odżyły one ze specjalną siłą i żywotnością". Tak pisał na stronicach paryskiej gazety „Lettres Françaises" Louis Parrot analizujący dwie nowe powieści angielskie, w których głównymi działającymi postaciami są zjawy: powieść Torn Smitha i Normana Whitstone'a „Moja żona - wiedźma" i powieść Francisa Exhama „Spopielałe serce".

Rzeczywiście we współczesnej powojennej angielskiej prozie coraz częściej miejsce żywych, prawdziwie ludzkich charakterów zajmują upiory, cienie, widma lub w najlepszym razie tylko bardzo dalekie podobieństwa ludzi.

W większej jeszcze mierze uwagi te odnieść można do współczesnej poezji angielskiej. Ostatni tom wierszy angielskiego poety i nowelisty, leadera grupy „Apocalipsis" Henry Treesa, już w samym tytule przynosi określenie charakteru tej poezji „Sad, gdzie brodzą zjawy". Normalne ludzkie widzenia i czucia zostały przesłonięte w nim reminiscencjami przeszłego lub przeczuciami przyszłego koszmaru.

Wszystko to dzieje się jednocześnie w tak wymyślnych i skomplikowanych okolicznościach, że aż zatracających wszelkie pozory prawdopodobieństwa. Jednakże podobne wiersze, poematy i opowiadania o świecie zjaw i upiorów okazują się całkiem niewinnymi w porównaniu z tą „produkcją upiorów", jaka jest wytwarzana przez amerykański przemysł filmowy. Hollywood stał się główną kwaterą, rozsyłającą koszmarne zjawy na wszystkie ekrany świata. Oto np. nazwy niektórych hollywoodzkich filmów: „Widmo wampira", „Straszne przywidzenia", „Córka diabła", „Dusiciel z błota", „Kobieta-wampir" itd. itd. A obecnie amerykańska firma filmowa „Universal" zawiadamia o nowej serii „super - upiornych filmów" które, jak powiedziane w reklamie „powinny doprowadzić widza do spazmatycznego przerażenia".

Niedawno na stronicach amerykańskiego pisma „Publisher weekly" ukazała się informacja o nowym zbiorze „Strasznych opowiadań" opracowanych przez Alfreda Hitschcocka, kiedy odnosicie wrażenie przestrachu przypominające Alfreda Hitschcocka, reżysera takich przerażających filmów jak: „Trzydzieści dziewięć kroków", „Obcy korespondent". Obecnie nie zadowalając się tymi koszmarami, którymi raczył swych widzów, Mr. Hitschcock wydał książkę, która powinna „paraliżować i obezwładniać świadomość człowieka swą grozą i upiornością". Wybrał on z „literatury strachu" dwadzieścia siedem opowiadań, które najlepiej potrafią spełniać zadanie utrzymania czytelnika w stanie trwogi.

Wydać się może, że takie książki i filmy należą do rodzaju, którego zadaniem jest odciągania konsumenta od realnej rzeczywistości. Jednocześnie jednak ta literatura atomowego katastrofizmu, psychicznego szantażu pełni z konieczności jakąś rolę wychowawczą. Obecne jej rozplenienie się na Zachodzie powinno poważnie zastanawiać i dawać wiele do myślenia.

Niedawno w Ameryce opublikowano interesującą książkę Krakauera zatytułowaną „Od gabinetu doktora Kaligali do Hitlera". Analizując współczesną amerykańską poezję „koszmarów i okropności", porównując ją z niemieckimi filmami do hitlerowskiego okresu, ilustrując jak podobna „sztuka" demoralizuje czytelnika, Krakauer dochodzi do przekonywującego zdania, że „kult sadyzmu w amerykańskiej twórczości okazuje się emocjonalnym odpowiednikiem faszyzacji kraju".

Waldemar Kiwilszo

Z. S. R. R.

Powieść w Z. S. R. R.

Wojna szczególnie dla Rosji ciężka, nie osłabiła, pomimo skoncentrowania olbrzymich wysiłków społeczeństwa i państwa na odcinku militarno-gospodarczym tętna jej życia literackiego. Przeciwnie, dostrzegamy znaczny wzrost energii twórczej, co jest specjalnie uderzające w zestawieniu z sygnalizowaną przez krytykę zachodu posuchą literacką, jaka panuje obecnie na wyspach brytyjskich.*) Energia ta widoczna i w statystyce wydanych publikacji literackich w okresie 41 — 46 i, co dla odbiorcy zagranicznego ważniejsze, w niezwyczajnej wartości artystycznej znacznej liczby utworów z „Młodą gwardią" Fadejewa na czele. N. b. przy śledzeniu linii rozwoju artystycznego nie należy zbyt pochopnie przyjmować sugestii krytyki radzieckiej, mającej nie rzadko skłonność do dytyrambizowania. Zjawisko tej energii tłumaczy z jednej strony szczególnie wymagająca ingerencji pisarza chwila historyczna — z drugiej, co należy mocno podkreślić, zadania, jakie przed sobą postawił (oficjalnie na Zjeździe Związku Literatów w Moskwie — 1932 rok, pod przewodnictwem sędziwego Gorkija) świat literacki Rosji — zadania przewodnictwa we współczesnej rzeczywistości i przygotowania społeczeństwa do działania poprzez objaśnianie oddziaływujących na nie sił. Innymi słowy literatura w całej swej rozciągłości wypełnia zamówienie społeczne. Modne to obecnie w krytyce polskiej określenie jest prawdę rzekłszy terminem dość rozległym, obejmuje właściwie całą literaturę „czytelną", w obrębie której mamy do czynienia z dwoma biegunowo sprzecznymi co do funkcji społecznej „zamówieniami" — oddolnym i odgórnym.

Pierwsze narzuca rynkowi literackiemu niewybredne gusty czytelników niewyrobionych, o bardzo, ograniczeniu, bądź to skrzywieniu zainteresowań kulturalnych, drugie — to wyraz potrzeb i zainteresowań czytelników wyrobionych i inteligenckich. Będzie to literatura ideowa. Jedna z tej gałęzi posiadająca zdolność ogarniania i podciągania mas — to literatura dydaktyczna. Przykłady pierwszej: na niższym szczeblu — prymitywny romans kryminalny czy erotyczny, zaprawiony ckliwym melodramatem, na stopniu wyższym — zamożniejsze mieszczaństwo — wyrafinowany, pikantny romans erotyczny, fantastyka niesamowitości n. b. święcące obecnie triumfy na zachodzie w związku z histerią atomową, anomalie psychologiczne.

Najogólniejszymi cechami literatury sowieckiej, które wyróżniają ją spośród literatur liberalnych, obsługujących dla potrzeb kasowych w równej mierze oba „zamówienia", jest jej monolitowość — literatura ideowa, w pewnej części — dydaktyczna.

Jasne, że ta jednolitość mocno zwęża problematykę. W tym kierunku idą zarzuty zachodnio-europejskiej prasy krytycznej. Wydaje się jednak, że nie ma czego żałować. Nie narusza ona w niczym tematyki. Zarzut o drakońskiej dyktaturze „traktorów" wynika z reagowania „uczuciowego" przez Zachód na pewne tylko elementy tematyczne. Właśnie w latach wojennych — w 1942 r. — ukazał się i został wyróżniony nagrodą Stalinowską tak bardzo oderwany tematycznie od bezpośredniej rzeczywistości utwór, jakim jest „Cesarz Dawid" Hamsachurdi'ego — powieść historyczna o Gruzji XI wieku, a nie jest to wcale zjawisko oderwane.

Dydaktycznej literaturze równie rosyjskiej, jak każdej innej grozi niebezpieczeństwo spłycania rzeczywistości do granic..." książeczki dla grzecznych dzieci". W Rosji broni, przed tym, a jednocześnie umożliwiają spełnianie zadań społecznych „literaturze dużej" rygory realizmu socjalistycznego wykształconego i wypróbowanego przez doświadczenie pisarskie Gorkija.

Stąd niechęć do literactwa zawodowego, nacisk by literat był jednocześnie działaczem, a przede wszystkim w pewnej dziedzinie pracownikiem społecznym, co dałoby mu niezbędny dla pisarza - realisty zakład doświadczeń **). Tak powstał „Poemat pedagogiczny" Makarenki. Dokładna wiedza o przedmiocie stanowi o umiarze i trafności pozycji wybitnych, że wymienię „Cichy Don" Szołochowa i „Dnie i noce" Simonowa.

Z drugiej strony jasne, że ocena i rozumienie morfologii zjawisk jest socjalistyczne. Postulat integralnego objektywizmu stawiany w różnych odstępach czasu na zachodzie jest nieporozumieniem, opiera się na micie, że obiektywizm taki jest osiągalny. Nie do pomyślenia byłby taki realizm typu Hansa Fallady — „I cóż dalej, szary człowieku?" — ujęcie życia jako dżungli właściwe pisarzowi nieposiadającemu szerszych perspektyw ideowo-społecznych, bezradnemu wobec rzeczywistości, którą umie jedynie obserwować w zewnętrznych przebiegach.

Pisarz sowiecki czuje się w obowiązku zawrzeć w tekście wiedzę jasną i wyczerpującą o rzeczywistości społecznej. Charakterystyczną cechą współczesnej literatury sowieckiej jest jej optymizm, wynika on logicznie z omówionych wyżej postulatów literatury i z wiary socjalisty w owocność rozbudowywanego przez siebie ustroju.

Bohaterem — przechodzę do kwestii szczegółowszych — tych, ku któremu ma się kierować sympatia czytelnika, nigdy nie będzie jednostka społecznie bierna, nietwórcza, lecz człowiek, użyję sformułowania krytyka sowieckiego*), „któremu harmonizowanie jego życia i pragnień osobistych z szerokim nurtem społecznym, gwarantuje pełny rozwój indywidualności".

Dalsze różnice między literaturą sowiecką a zachodnimi wyznacza już różność struktury społecznej i ideologiczno-politycznej.

Należy uprzytomnić sobie, że 80 milionów obywateli radzieckich to już pokolenie porewolucyjne, które wkroczyło właśnie w swój wiek męski. Znaczy to, że wprawdzie powoli i bez wątpienia z oporami, spełnia się zapowiedź Lenina: „Wnuki nasze patrzeć będą na dokumenty i pamiętniki z epoki ustroju kapitalistycznego, jak na jakieś dziwadła, nie będą sobie mogli po prostu wyobrazić, jak to handel artykułami pierwszej potrzeby mógł znajdować się w rękach prywatnych, a człowiek mógł eksploatować drugiego".

Z braku miejsca tylko dwa konkretne przykłady. We współczesnej literaturze radzieckiej nie istnieje popularny na zachodzie, a przedtem w carskiej Rosji schemat powieściowy: samotny społecznik przebijający głową mur nieprzystosowanej do jego utopijnych marzeń struktury społecznej i administracyjnej — Ibsen, Turgieniew, Żeromski, Cronin. Ten typ utworu zniknął z zanikaniem analogicznego zjawiska życiowego. Społecznik nie jest samotny, powtórzę sam ustrój, mimo takich czy innych niedokładności aparatu administracyjno-społecznego nastawiony jest na to, aby mu pomóc. Ilustruje to przesunięcie niedawno wydana i nagrodzona w 1946 r. powieść Wiery Panowej — „Towarzysze podróży". Opory, jakie nieustannym wysiłkiem pokonywa jeden z bohaterów powieści Dr. Biełow, to już tylko zacinanie się aparatu administracyjnego w czasie wojny, niedostatek medykamentów, niewyrobienie i nieprzygotowanie przypadkowych wojennych sanitariuszy. Brak tu również hamletyzmu, ponieważ cele i obowiązki społeczne postawione jasno, dają otwarte pole każdej inicjatywie z tym warunkiem by była twórcza i zgodna z nurtem społecznym. Nowa powieść Beka — „Panfiłowcy na pierwszej granicy" to stały monolog głównego i właściwie jedynego bohatera Mamysz — Uły, „duszny rozhowor" z samym sobą. Próżno jednak dopatrujemy się tu hipochondrii, bezpłodnego marnowania energii. Są to gruntowne i rzeczowe przemyślenia, po których następują czyny.

Wreszcie najogólniejsza charakterystyka powieści lat 42 — 46 . Główna linia tematyczna, nie zacieśniająca jednak jak wyżej wspomniałem, tematyki rozleglejszej — to wojna.

Społeczny „bohater naszych czasów" pokazany w mundurze. Zmienia się jedynie jego funkcja społeczna, lecz nie nastawienie wobec życia i rzeczywistości. Wojna jest sprawdzianem walorów duchowych, jakie nabył przez wykształcenie socjalistyczne.

Ilustracją powyższego są dwie wyżej wspomniane powieści. Wymienię jeszcze najdoskonalszą artystycznie „Młodą gwardię" Fadejewa — powieść o dzieciach, które próba ogniowa charakteru zastała fizycznie i psychicznie nieprzygotowanymi, mimo to zdały swój egzamin celująco. „Ludzie z czystym sumieniem" Wierszigory — nagrodzona również w 46 r. powieść w charakterze reportażowym z partyzantki białoruskiej o sławnym partyzanckim generale Kowpaku. Kmicicowe bohaterstwo Kowpaka powoduje nie przerost ślepych sił życiowych nad intelektem, lecz świadomość obowiązków społecznych i dokładne rozumienie chwili. Wreszcie „Powieść o współczesnym człowieku" — Polewoja oparta na wydarzeniu autentycznym, daje sztandarowy przykład siły woli, bohaterstwa i świadomej, nie tylko uczuciowej ideowości żołnierza — obywatela. Bohater powieści lotnik po amputacji obu nóg zgłasza się z powrotem do służby czynnej i siłą woli pokonawszy ogromne przeszkody fizyczne bierze udział w dalszych walkach.

Tadeusz Chróścielewski

*) Rosamund Lehmann — British to day 1946 r. „Przyszłość powieści" — Autorka omówiwszy publikacje literackie, jakie ukazały się na przestrzeni roku w Anglii wyprowadza bardzo pesymistyczne wnioski co do przyszłości powieści angielskiej.

**) P. przekład artykułu Antokolskiego „O literaturze i wychowaniu młodych" — „Wieś" Nr 42 (121).

*) Zofia Nels — Ideowo- artystyczne szlaki sowieckiej prozy — „Znamia" 47 Nr 6.

Stanisław Stefan Gębala ilustr. S. Cieloch

„DZIADZIA"*)

BYŁ MGLISTY i zimny ranek jesienny, kiedy ten człowiek pojawił się tu wśród stert piasku, stosów desek i cegły porozstawianych bezładnie wśród sosen wieloletnich i pośród młodych sosnowych zagajników. Pociąg przystanął na stacyjce nienotowanej jeszcze przez istniejące mapy kolejowe i po krótkim, minutowym postoju ruszył dalej. Żaden z pasażerów nie wstępował na stację. Nie było zresztą gdzie. Czworobok z desek, przewrócona na bok olbrzymia skrzynia — to właśnie ona. W kącie odgraniczonym trzema ścianami od świata, mały kiosk, w którym pokutuje dyżurny kolejarz — to wszystko, co nosiło nazwę stacji... Zatrzymać się tu nie było po prostu możliwe. Robotnicy sfrunęli ze stopni wagonów na kilkadziesiąt kroków przed miejscem postoju pociągu i natychmiast zginęli w gęstwinie sosen i zagajników. Tylko ten człowek stanął na skrzyżowaniu szosy i torów kolejowych i rozglądał się bezradnie...

Dął zimny, przenikliwy wiatr.

Człowiek stojący na szosie poprawiał właśnie kraciasty, pled, spod którego jedynie wyglądał koniec nosa i czub futrzanej czapki, kiedy przeszedłem koło niego. W tych dniach opanowanych szalonym tempem pracy nie było czasu na przyglądanie się ludziom, choćby najbardziej dziwacznym, mimo to przystanąłem; zresztą i ten bezradny człowiek nosił się z zamiarem zatrzymania mnie...

— Bardzo przepraszam... — odezwało się spod owinięcia kraciastego pleda, a równocześnie, człowiek mówiący uniósł nieco ręki w kierunku czapki. Był to gest powitania... Potem człowiek ten schylił się po teczkę i dopiero stanąwszy prosto powtórzył:

Bardzo przepraszam... — Nie ma za co — odpowiedziałem, zamierzając iść dalej. W tych czasach nikt tam wśród tego lasu i pośpiechu nie zwracał uwagi na konwenanse —

— A ja chciałem pana zapytać o drogę do.... tu człowiek zaczął grzebać po kieszeniach czarnego palta, zapewne poszukując notatnika z adresami. Nie znalazłszy go i tak sobie przypomniał cel swej podróży... — Do elektrowni, a właściwie na miejsce budowy...

— To proszę za mną...—Człowiek skulił się w sobie i drobniutkimi kroczkami podążał za mną. Zeszliśmy z szosy gdzie było za wiele błota i wstąpiliśmy na ścieżkę prowadzącą przez środek zagajnika. Tu było ciszej. Przystanąłem dla zapalenia papierosa, a on uwolnił nieco twarz spod pleda. Wtedy zobaczyłem, że człowiek to stary, że patrzy natarczywie, a to na skutek tego, że jego wzrok nie jest najlepszy i że dziwaczna jego szpiczasta bródka jest nieco szpakowata...

— Czy można pana zapytać, — zagadnął człowiek z pledem.

— Spytać zawsze i wszędzie — odpowiedziałem.

Zaczęła mnie bawić ta grzeczność starszego pana w czarnym palcie, długich, doskonale zaprasowanych spodniach, w kaloszach i z pledem na głowie...

Kto chodzi po tych wrzosowiskach w czarnych spodniach z kantem, w kaloszach i z pledem?

— A ja chciałem pana zapytać, jeśli można, czy pan pracuje na tej budowie?

— Tak.

Uszliśmy znów ze setkę kroków, gdy memu towarzyszowi zsunął się kalosz. Znów przystanęliśmy.

— Ja nie chciałbym być natrętnym, ale znów muszę zapytać o charakter w jakim pan tam pracuje...

— Charakter? — zapytałem nie powstrzymując uśmiechu.

Każdy, kto tam pracuje, jest nagłym, gwałtownym, cholerycznym charakterem... A jeśli chodzi o to, co ja tam robię, to powiem panu, że jestem tam buchalterem, gdy trzeba, magazynierem, pomocą techniczną, rachmistrzem, a czasem poganiaczem ludzi... Kto wie, czy lada dzień stróżem nocnym nie zostanę, jeśli ten, co jest, nie ukradnie sam czego i nie ucieknie.

— A ja, widzi pan, mam informacje, że materiał ludzki jest tu pierwszorzędny... że robotnicy są tu doskonali i, że specjalny nadzór nad nimi nie jest konieczny...

— Konieczny jest, proszę pana...

— Kiedy widzi pan, źródło z którego pochodzą te dane jest nabyte...

— A to źródło, z którego ja mam swoje dane, jest jeszcze dokładniejsze, bo to jestem ja sam. Przystanęliśmy znowu, stary pan wyjął okulary i jakoś je tam, mimo pledu, usadowił na nosie...

— Widzi pan — mówił pan z pledem — to są sprawy o tyle dla mnie ważne, że będę się starał rozpocząć budowę kanału dopływowego w jak najkrótszym czasie. Teraz z kolei ja zacząłem się dziwić, nie mieć ochoty do odejścia i patrzeć w milczeniu na rozmówcę. To ten co niedawno stanął do przetargu — na wykonanie tego kanału, człowiek, którego oferta opiewała na sumę o 40 tys. złotych niższą od najtańszej z pozostałych ofert, a o całe 100 tys. niższą była od oferty naszej firmy. Już kilka dni mówi się w naszym kantorze o wariacie, który podjął się za tak śmieszną cenę roboty, której my po prostu — baliśmy się... Znaliśmy przecież ten teren, te usypiska lotnych piasków, warstwy wodoszczelne iłów błękitnych i zielonkawych, pod którymi leżą gęsto zwaliska pni drzewnych o olbrzymiej średnicy, zamulone tu przed wiekami przez wody potopu chyba...

Ten człowiek prawdopodobnie nie wie, że kopiąc tu byle rów, trzeba go wszechstronnie zabezpieczać, szalować, stemplować, podpierać itd., że trzeba te iły pełne źródeł, wód podskórnych kuć oskardami, a potem natrafiwszy na zwaliska drzewne, gryźć je zębami, chyba cal po calu, całymi tygodniami, co nadwyręży najmocniejszą kalkulację I ten człowiek ma pled, okulary, kalosze, parasol też pewnie ma, kiedy tu trzeba taplać się w błocie po kolona, albo na zmianę „przy dobrym wietrze" łykać tumany lotnego piasku wśród piaszczystej zawiei...

Wyrwał mnie z tej zadumy głos mego towarzysza...

— Czemu się pan dziwi?



— Rzeczywiście — rzekłem — dziwię się. ale chyba pójdziemy dalej... Powiedział mi jeszcze, że przyrzeczono mu początkową pomoc i radę w firmie. — Tu wymienił nazwę naszej firmy i, że chciałby się najpierw zobaczyć z dyrektorem przyszłej elektrowni, który dziś pokaże mu teren. Objaśniłem go, że dyrektora rozpozna po myśliwskim stołeczku, który nosi ze sobą i po grubym cygarze, które ćmi wiekuiście, a co do nas, to już od kilku dni czekamy... Poszedł w kierunku budowy, a ja do kantoru. Wzbudziłem sensację opowiadając o przypadkowym poznaniu zuchwalca, o którym od kilku dni gadaliśmy.

— Jaki jest ten frajer? — pytał student politechniki, a u nas technik-kierownik...

— Hm... — niski, stary, szczupły, z bródką w okularach, w pledzie i kaloszach i bardzo grzeczny.

— Dziadzia — zawyrokował technik, włożył w kieszeń taśmę i wyszedł na budowę..

— Czy nie mówił, że do nas przyjdzie? — zapytał inżynier.

— Przyjdzie, gdy już pozna dyrektora..

— A ma coś w sobie, takiego z budowy?

— Ani troche...

— Hm! — to spojrzy i pojedzie bez pożegnania — zakończył inżynier, bo właśnie przed kantorem stanęła gromada robotników z nocnej zmiany, wrzucając do puszki blaszki numerów kontrolnych.

II.

Od tego dnia począwszy „dziadzia" przez kilka dni pracował pod naszym dachem Przychodził punktualnie o 8, wieszał na ścianie pled i zdejmował kalosze, poczem zakładał okulary i witał się z nami, poczem zdejmował palto i przez godzinę notował, telefonował do firm, zapytując o ceny desek, papy, cementu, poczem z kolei wkładał palto i nakładał kalosze, wychodził na swój teren. Punktualnie o 12 wracał, zdejmował kalosze, szedł z nami na obiad, skąd wróciwszy notował do godziny 14 punktualnie, poczem gotów był do rozmów z nami, o ile nasz czas i ochota sprzyjały temu. W czasie jednej z takich rozmów personel techniczny naszego biura zdążył poinformować go o technicznych trudnościach, jakie go czekają... Słuchał nie zdradzając większego zainteresowania wyliczaniem wszystkich klęsk żywiołowych i plag egipskich, które spadną na kanał dopływowy i pogrzebią na jego dnie kalkulacje i nadzieje przedsiębiorcy, który po wielu katastrofach odejdzie stąd jakby boso i bez portek...

W opowiadaniach tych celował szczególnie student... Siadał wtedy okrakiem na krześle i lwowskim akcentem głosił swoje credo.

Jednego razu staruszek nieoczekiwanie w czasie takiej rozmowy zapytał:

— Czy słyszał pan jak budowano kolej transsyberyjską?

— Czytałem — powiedział student.

— A ja widziałem — rzekł grzecznie staruszek, ale, że upłynęło już pół godziny przeznaczone na rozmowy na wolne tematy, więc wstał, wzuł kalosze, począł pakować teczkę wreszcie pożegnawszy się z nami, owinął się w pled i wyszedł obiecując kiedyindziej opowiedzieć o tym coś nie coś.

— A jednak nie zdaje sobie sprawy z tego, że jego kalkulacja nie wytrzyma tych trudności — powiedział pan inżynier.

—— Frajer on jest — stwierdził po raz setny chyba student.

„Dziadzia" nie zdążył opowiedzieć nam o technice budowy transsyberyjskiej, bo po kilku dniach miał już wykończony własny barak, gdzie zamieszkał i urządził kantor swej budowy. Odwiedziłem go tam pewnego dżdżystego popołudnia. W pięknie urządzonym kantorze był tylko chłopak - goniec. Palił właśnie w piecu, od którego co chwila odrywał się, by spojrzeć na termometr wiszący nad biurkiem. Chłopak dawniej pracował u nas i mnie zawdzięczał swą pierwszą biurową „hadukacją". Tak nazwała jego pracę rodzona jego matka, wtedy gdy przywiodła go tu wprost z pastwiska od pasienia krów.

— U nas, to tak — mówił rezolutnie chłopak — wszystko na zegarek i na miarę... Pogoda idzie według tego — tu wskazał na duży aneroid — ciepło według tego tu, a „lekstryka" na tamtym się pokazuje...

— A te drewna do pieca, też na miarę?

— Nie.

— No to pal, aż piec pęknie — powiedziałem, bo w kantorku było zimno, a termometr wskazywał dopiero 10 stopni.

— Ma być najmniej szesnaście — zawiadomił mnie chłopak wtykając równo pocięte drewienka do pieca.

Wszedł „dziadzia".

— Aa! — zaczął od progu, ale najpierw zdjął kalosze, potem pled zawiesił w pobliżu pieca, potem spojrzał na termometr, potem na chłopaka i wreszcie zaczął się witać.

— A. jak to pięknie, że zajrzał pan do starego...

A a! a jest pan moim najstarszym znajomym w tych stronach, i w co nie wątpię przyjacielem.

— Naturalnie — burknąłem.

— Że też panu wcześniej na myśl nie wpadło zajść tutaj kiedy... Widzi pan siedzę tu sam z tym Władkiem, który mi licho pali w piecu.

— Zaraz będzie ciepło —wtrącił się do rozmowy chłopak, klęcząc przy drzwiczkach pieca...

Popatrzyłem na diagram, terminarz robót i zapytałem o robotę.

— Widzi pan zielone kratki to trasa. Przewidzieli to za dwadzieścia pięć dni, a ja w dziesięciu... Aahaha... Ale oni zakładali, że oczyszczenie trasy obędzie się bez kosztów, że chłopi z okolicy za darmo za sam chrust oczyszczą trasę...

— Chłopi, chłopi — mówił dalej z przekąsem — jacy tu są chłopi? w robocie... Jeśli nie na wyrębach, to na tym ich „flisie" to za granicą, a tu teraz... Ja zapłaciłem wyczyszczenie trasy, a jutro zaczynam...

Tego dnia „dziadzia" rozpoczął właściwą pracę i od tego dnia zaczęło się krytykowanie w naszym biurze.

— „Dziadzia" warstwami sobie idzie — mówił student — z górki zlał już 2 metry, a łączki jeszcze nie ruszył. W tydzień później student zakomunikował, że „dziadzia" ma już wodę w wykopie i, że wodę tę puścił na łączke, na której zrobi się wnet jezioro. Następnego tygodnia poziom wydma — wykopu był już poniżej poziomu łączki i student naśmiewał się z poszukiwania sposobu jej wpuszczenia do koryta Sanu. Wtedy znowu odwiedziłem „dziadzia" w godzinach, kiedy powinienem być w swym biurze. Był w ogromnym wykopie wśród zwałów wywalonej ziemi, na jego dnie pluskała woda. Robotnicy w gumowych butach pluskali się w niej, stemplując deskowania ścian bez pośpiechu. Do biura dochodziły odgłosy tej pracy, jak z głębokiej studni. „Dziadzia" był grzeczny i spokojny jak zawsze. Pokazał mi diagram prac, na co ja wspomniałem o stawie na łączce... To zdawało się interesować staruszka.

— Do rzeki go nie wpuszczę, bo zwierciadło wody w niej jest wyższe od poziomu na łączce. Zresztą za daleko. Za to zaczynamy kopać u brzegu rzeki... Stamtąd trzeba było zacząć.

— A na co? — To obojętne. Na tym skończyła się rozmowa o sprawach technicznych a „dziadzia" jął dopytywać się o mnie, ni mniej, ni więcej tylko o mój rodowód.

Tłumaczyłem mu już kiedyś, że pochodzę z tej okolicy, że 20 km stąd w pewnej zapadłej wsi, położonej pod lasem stoi moja rodzinna chata, w której bywam latem, co niedzielę, a zimą co dwie... Nie o to mu jednak chodziło.

— Czy pańscy przodkowie od dawna tu mieszkają — pytał przecierając okulary. — Pewnie od zarania dziejów tej osady — powiedziałem chcąc zakończyć ten temat. Nie udało mi się.

— Bo widzi pan — mówił staruszek mam niejakie prawo podejrzewać cię o kuzynostwo... Skąd, co jak — nie powiedział. Obiecał natomiast w przyszłości wyświetlić tę sprawę traktując mnie od tej chwili, per kochany kuzynie... Ubzdurał sobie coś ten dziadzia — myślałem i kuzynuje mnie tu niewinnego. Pewnej nocy po ulewnym deszczu u „dziadzia" oberwał się brzeg tak pieczołowicie chroniony ścianami, na które zużyto całe wagony desek i stempli... Kanał na znacznej przestrzeni był do połowy zasypany, a poza tym pod zwałami złomu znalazła się jedna z małopomp. Znów odwiedziłem „dziadzia". Znów był grzeczny i spokojny, znów mówił mi kochany kuzynie i nie przejmował się katastrofą. — Ziemię usunie się w ciągu tygodnia...

— No tak, ale pompa?

— Jest już niepotrzebna.

— Jak to?

— Lada dzień doczeka się mrozów — i tu wskazał stado wron, które osiadły wierzchołki drzew rosnących opodal... One czują bliskość mrozów, barometr idzie na pogodę...

A kiedy w naszym biurze powiedziałem, że „dziadzia" czeka na mrozy, ze wszystkich ust się wyrwało niespodziewanie jedno przeciągłe aaaaa!

III.

Po krótkotrwałych przymrozkach nastały sloty jesienne. Deszcz mżył całymi dniami, wzmagał się, czasami aż do gwałtownej ulewy, a towarzyszyło mu dzikie wycie wichru. W mokrym powietrzu kłębiły się szare obłoki. coraz to niżej nad ziemią. Ziemia zmieniła się w szarą masę błota pociętego bruzdami kałuż... Na wykopach zatrzymywano pracę, aż do polepszenia się pogody, gdy tymczasem wróżbita P. I. M. codziennie zapowiadał wiatry południowo - zachodnie, co było równoznaczne z dalszym trwaniem słoty... Wykopy „dziadzi" wypełnione wodą wyglądały, jak dziwaczne jezioro, po którym pływają resztki jakichś rzeczy... Deski, profile, stemple, wszystko, co nie przymocowane było w wykopach pławiło się na powierzchni tego stawu, który w miejscu, gdzie istniała łączka łączył się z drugim stawem znacznie rozleglejszym, dotykającym jednym końcem widocznej zdala wsi, drugim zaś ze spienionym rozlanymi wodami korytem Sanu... Robotnicy już dawno poszli do domów, z dnia na dzień wyglądając pogody... Co wieczór brnąłem przez zwaliska iłów i glin do baraku „dziadzi" wiedziony tam jego pewnością siebie... Idąc do niego myślałem codziennie. — Dziś „dziadzia" skapituluje... Wracając miałem zawsze zupełnie inne o tym zdanie... Dziadzia był spokojny, nudził się, zainstalował także radioodbiornik i czytał gazety... Codziennie słuchaliśmy monotonnego szumu deszczu po dachu baraku, codziennie słuchaliśmy plusku wody spadającej zewsząd do wykopów. Aż jednego wieczora, kiedy to z głośnika P.I.M. zapowiadano, jak zwykle południowo - wschodni wiatr i niepogodę, zmarzłem siedząc przy oknie baraku. Jeden z majstrów, który codziennie przychodził dowiadywać się: „co dalej?" — również zmarzł, a Władek rozpoczął dodatkowe ogrzewanie baraku. Kiedy późno w noc wychodziłem, poczułem przy oparciu się o deski sza-

*) Opowiadanie Gębali jest wspomnieniem z okresu liberalizmu gospodarczego w Polsce. Mimo społecznie marginesowych osiągnięć „Dziadzi", w opowiadaniu jest tyle rzadkiego u nas szacunku dla planującej myśli technicznej łamiącej naturalne trudności, że uznaliśmy za celowe opublikować opowiadanie, jako świadectwo stosunku pisarza ludowego do tej sprawy.

Red.

przełożył T. Ch.

HISZPANIA RUCHU OPORU

Ostatni list Krystiana Garcji

Krystian Garcja, urodził się w Austurii w rodzinie górniczej. Miał 16 lat, gdy zaczął się rokosz gen. Franco. Wstąpił na ochotnika do armii ludowej i bił się w jej szeregach dopóki faszyści nie zajęli Austurii, poczem walczył jako partyzant. Republika przyznała mu stopień majora. Po klęsce przeszedł granicę francuską, zbiegł z obozu koncentracyjnego. Po wkroczeniu Wehrmachtu do Francji był jednym z pierwszych organizatorów oddziałów dywersyjnych w górniczych okręgach Haaru. Ruch partyzancki, któremu dał początek objął szereg sąsiednich departamentów. Garcja został dowódcą zorganizowanej przez siebie trzeciej dywizji partyzanckiej. Po zakończeniu wojny przedostał się do Hiszpanii, gdzie objął dowództwo podziemnego ruchu zbrojnego. W 46 roku schwytany i skazany na śmierć przez frankistów, wysyła do towarzyszy broni obszerny gryps, którego fragmenty podajemy poniżej.

Drodzy Towarzysze!

Zapewne zdziwieni jesteście moim długim milczeniem, bałem się wszakże, by list nie dostał się w niepowołane ręce.

Cóż by Wam napisać o obchodzeniu się z nami w więzieniu? Wpadłszy w ręce wroga gotów byłem na wszystko. Tylko pierwszego dnia postępowano ze mną poprawnie — wtedy gdy mnie pojmali. Wykwintne papierosy, słowa pełne wyszukanej uprzejmości, nawet propozycja... „zorganizowania" mojej ucieczki pod warunkiem, że przejdę do nich na służbę. A potem.. „sesje". Na trzeci dzień krew lała mi się z uszu. Po każdej sesji z trudem taszczyło mnie czterech policjantów. Gdy omdlewałem, ziewano mnie wodą i znowu. Tak 12 dni. Potem 3 dni spokoju i znowu cały tydzień. Sądzę, że zawsze żyłem tak, jak żyć powinienem. Nie piszę tego przez samochwalstwo. Zdaje mi się, że zbliża się koniec, toteż chcę, by list ten, jeśli tak się zdarzy, że będzie ostatni, mówił nie tylko o tym cośmy przeszli, ale także, żeby Wam pomógł zdemaskować przed światem metody tych zbirów i pokazał o ile możności, jakim powinien być żołnierz demokracji zawsze, a więc i wtedy, gdy nieszczęsny los zaprowadzi go w ręce wroga.

Jak powiedziałem, położenie moje i kolegów jest beznadziejne. Chcą nas wpiątać w kryminalny proces sądowy, zgładzenie bowiem za działalność polityczną byłoby ze względu na sytuację międzynarodową mocno kłopotliwe. Starają się udowodnić nam grabieże i temu podobne.

Zapomniałem powiedzieć, że przy pierwszych trzech „przesłuchaniach" asystował... „bosz", który oznajmił mi, że zachował o mnie... bardzo dobre wspomnienia z czasów walk we Francji. Na trzeci dzień, pożegnał się ze mną z błazeńską uprzejmością, gdy ociekałem krwią. Dmuchnął mi w twarz dymem i rzekł: „No przyszedł czas, gdyśmy cię wreszcie złapali". Wybaczcie, gdy list przyjdzie z opóźnieniem. Piszę z przerwami i w strasznym zdenerwowaniu. Trzymają mnie w klatce jak małpę, brak tylko dzieci, które rzucałyby we mnie orzechami.

Trzymam się.

Gdy przeszedłem granicę, by zająć znów swój posterunek w walce z faszyzmem wiedziałem, że nie czeka mnie tam droga usłana różami.

Pamiętam, jak przykro mi było we Francji, gdy koledzy wcześniej ode mnie wracali do ojczyzny.

Tu nasze miejsce. Było i jest. Gdy nas nie stanie, następni przejmą walkę, aż wreszcie...

Na rozprawie zeznaje przeciwko mnie jakiś osobnik, którego nigdy nie widziałem na oczy, a który twierdzi, że był moim podwładnym i że poznał mnie w Madrycie, akurat na dwa miesiące przed dniem, w którym przeszedłem granicę francusko-hiszpańską...

Chcę dać Wam kilka rad. Myślę, że się przydadzą. Sytuacja dobra. Widać wyraźnie, że tych psów nic w większą konsternację nie wprowadza, jak nasz ruch. Trzeba mocno przykładać się, by się rozwinął. Należy rozważniej dobierać przywódców, a przytem uściślić zasadę, by nikt nie wiedział nic ponad to, co go bezpośrednio dotyczy. Trzeba dbać o wychowanie partyzanta - demokraty.

Powiedzcie od nas Dolores: — Jej imię — nasz sztandar. Towarzyszko Dolores — Nasza Przewodniczko, Nauczycielko śmiałych. Gdy dowiesz się o tym liście, nas już nie będzie wśród żywych. Chcemy Ci rzec, że nic nie zdołało wyrwać z naszych ust jęku. Wierzę, że tysiące Hiszpanów doprowadzi do końca walkę z faszyzmem.

Twoje imię czci i kocha tysiące najlepszych synów naszej ojczyzny. Wszystko mi jedno, co mówią o mnie faszyści, ważne to, co powie Naród, któremu winni jesteśmy wszystko. Niech żyje Wolna i Ludowa Hiszpania!

Więzienie Carabaicelia, 15 luty 1946.

Manuelo Ponte

List otwarty do posła angielskiego w Hiszpanii

Manuelo Ponte był dowódcą Czwartego Partyzanckiego Zjednoczenia Galicji, poległ w walce z falangistami w 1946 r. Powyższy list pojawił się na trzy miesiące przed jego śmiercią w piśmie podziemnym „El Heriliero". Posłem angielskim w Hiszpanii był w tym czasie Wiktor Mallet.

Panie Pośle!

Dowiedziawszy się, że bawi Pan na terenie Galicji, nie mogłem oprzeć się chęci zwrócenia się do Pana. Z chęcią zetknąłbym się z Panem osobiście, zbyt wielka wszakże przepaść społeczna dzieli bezimiennego bojownika Oporu i znakomitego przedstawiciela Jego Królewskiej Mości, władcy Wielkiej Brytanii.

Z drugiej zaś strony znalazł Pan już i tak idealnych amfitrionów w osobach gubernatorów i wyższych urzędników falangi, którzy tak serdecznie przyjmują tu Pana jako swego dostojnego i miłego gościa. Jakżeż się czasy zmieniają, Panie Pośle.

Przyjechał tu Pan w nadzwyczaj ciekawym momencie. Nie wiem czy przewidziano w rozkładzie objazdu zwiedzanie więzień Galicji, a także czy asystował Pan przy radach wojennych, kiedy to wyroki śmierci sypią się nie rzadziej niż za najlepszych czasów Hitlera. A może dostał też Pan zaproszenie na uczestnictwo przy egzekucji Luisa Blanco i Diego Valero — odbyła się 3 października w Ponte-Vedre, 20-go tegoż miesiąca powieszono w Lugo Manuela Alvareza, 21-go również w Lugo — Julio Niego i Ramona Vivero. Pańską uwagę zajęły tak mocno niezrównane pejzaże Galicji i tak wzruszyło ujmujące przyjęcie organizatorów tamtych zbrodni, że nie stało czasu zastanawiać się nad tymi faktami, tak dla Pana trywialnymi. Prawdę rzekłszy, nic wielkiego.

Coż znaczy dla Rządu J. K. M. śmierć pięciu synów Hiszpanii!

Gdyby to był arcybiskup Zagrzebia — hitlerowiec, a, to co innego!

Lecz dla gentlemana, jakim Pan jesteś, pięciu zabitych nie przedstawia przecież żadnego interesu.

Pierwsi trzej, to herilierowcy, Hitler nazwał ich „bandytami", Franco, Churchill i minister Bevin zastosowali również to samo określenie.

Dwaj pozostali to komuniści, członkowie tej partii, którą postanowiliście trzymać w cugiach, ponieważ przeszkadza Franco w zagładzie Hiszpanii, a Imperium Brytyjskiemu w obdarowywaniu naszego kraju „zachodnią cywilizacją", którą obdarza także Indie, Indonezję i Palestynę.

Dla nas, Panie Pośle, są to żywe dzieci ludu naszego, który nigdy nie skłaniał głowy przed tyranami ni przed cudzoziemcami, pięciu co to ryzykują życiem, nie dozwalają, by tonny wolframu szły do hitlerowskich fabryk broni.

Tych pięciu zawisło na szubienicy właśnie wtedy, gdy Pan, ministrze Mallet, ściskał skrwawione dłonie falangowskich siepaczy.

Rząd angielski, który tak bardzo ubolewał nad losem nieszczęśliwych Jugosłowian, Bułgarów czy Albańczyków, tych, co to pierwsi zaznali szczęścia prawdziwej wolności i demokracji, nie wyrzekł, Panie Pośle, ani słowa, nie uczynił żadnego gestu chociażby prostego humanitaryzmu, by zaprotestować przeciwko zbrodniom frankistów. My, partyzanci, nie znamy się na subtelnościach dyplomatycznych, za to orientujemy się doskonale w faktach.

Dziesięć lat rozczarowań i walki dało nam, ludziom mało być może wykształconym, jednak, niczyim i o sercach przepełnionych cierpieniami i bólem narodu, poczucie uczciwości politycznej i godności własnej. Nauczyliśmy się oddzielać plewy od ziarna i sądzić ludzi po postępkach, nie zaś na podstawie frazesów.

Fakty mówią. Fakt, że Franco doda jeszcze kilka dziesiątków trupów do miliona ofiar rokoszu nie wpłynie wcale na kotcrie City.

Misja Posła J.K.M. wyraźna.

Hiszpania taka jak dzisiaj, z jej bogactwami i znaczeniem strategicznym — to coś znacznie ważniejszego, fundamentalniejszego. I w tym gdzieś tkwi bez wątpienia przedmiot waszych zabiegów. Półkolonialna Hiszpania, broń Boże, suwerenna, powiększy ilość zer na dywidendach wysoko postawionych koryfeuszów brytyjskiego imperium. I bez wątpienia dlatego, nie zaś dla podziwiania bukolicznych krajobrazów Galicji, wybrał się Pan w wojaż wzdłuż granicy portugalskiej.

Pozwolę sobie z całym należnym mu szacunkiem spytać Pana, czy w Pańskim kraju pamięta się o zamachach na angielskie konsulaty, o kamieniach ciskanych przez falangistów?

Czy pamięta się o „błękitnej dywizji" i grabiństwach Franco pod adresem „zgniłych demokracji"?

Czyż może Pan zaprzeczyć tym faktom ministrze Mallet?

Nasza pieśń ludowa powiada: „Najbardziej głuchy to ten, co nie chce słyszeć". A wy nie chcecie niczego słyszeć poza brzękiem złota, niczego widzieć poza świętą racją stanu imperium!

Nie prosimy o rzeczy niemożliwe, Panie Pośle, i nie o to, by wylądowała tu brytyjska armia i ustanowiła demokrację na modłę grecką. Nie chcemy mieszania się w nasze wewnętrzne sprawy. Za to chcemy, by Hiszpania była naszą, biedna czy bogata, byle nasza. Wasza polityka w stosunku do Hiszpanii budzi niesmak i odrazę. Na arenie świata, który tak bardzo potrzebuje sprawiedliwości i rzetelności, występujecie w stosunku do tego ostatniego oplotka faszyzmu jak druga kolumna. Wasi delegaci na sesjach ONZ przywdziewają togi adwokatów hitlerowskich koniuszych.

Wzamian za nasze produkty rolne posyłacie frankistom broń, aby zabijali naszych rolników i gasili krwią tęsknotę za wypełnieniem czterech punktów Karty Atlantyckiej.

Panie Pośle, proszę mi wybaczyć niedostatki literackiego stylu. Jam tylko heriliero — człowiek, który 10 lat temu uszedł w góry, ponieważ nie mógł się pogodzić z kapitulacją przed faszyzmem.

Być może, jestem także dla Pana bandytą. Tak Rzymianie nazywali Viriatusa, tak Napoleon nazywał tych, którzy krwawili się w obronie niepodległości Hiszpanii.

Jaki by nie był pański stosunek do nas, pozwolę sobie dać jedną radę: niech Pan zapozna się z naszą historią. Wtedy zrozumie Pan, że duszy służalczej nie mamy i podobni jesteśmy do dębu galicyjskiego, co to rozbity błyskawicami z rozoranymi gałęziami, wcześniej czy później wypuszcza świeże pędy, mocne, zakwitające, a to dlatego, iż korzeniami tkwi mocno w mężnej naszej ziemi.

5 październik 1946 rok.

Euzebio Simorra

Kędy ogień płonie

Pierwszego kwietnia 1939 r. Franco obwieścił w wojennym komunikacie: „Wojna w Hiszpanii zakończona". Ale to tylko na krótki czas popiół przysypał palenisko. Pod popiołem tlał węgiel. I wnet płomień ogarnął sine wzgórza Grenady, ziemię, na której zginął Lorca z twarzą obróconą ku karabinom i gwiazdom, stepy Fuenteovejuny, gdzie to chłopi dźwignęli się już raz na wyżyny historii, równiny La Manchy — tam w cieniu dąbrowy Don Kichot rozprawiał z pastuchami o sprawiedliwości i swobodzie, nieokiełznaną Katalonię, gdzie wrą odwieczne bunty w imię wolności, krainę Basków...

Rozniecił go wiatr wiejący od walczącego Stalingradu i entuzjazm majowych zwycięstw. W ciągu tych dziesięciu lat dojrzało i obecnie umiera za ojczyznę nowe pokolenie.

Jak stal

1. „Nasi ludzie podobni do stali — złamać ich można, zgiąć nigdy".—Dolores Ibbaruri, na plenum Hiszpańskiej Partii Komunistycznej w Paryżu — marzec 1947 r. —

2. Juan Martine — Empecinado — nieustraszony partyzant w wojnie 1808 r., trzy razy uciekał z więzienia, przy czwartej próbie ucieczki raniony przez straż konwojową.

— Hiszpańska encyklopedia.

Ramon Via żył w sto lat po Empecinado. Hiszpanie i partyzanci, obaj nieustraszeni, obu opromienia legenda. Ramon Via też uciekał dwa razy z więzienia. Empecinado raniony został na drodze. Ramon Via — zabity na ulicy. Empecinado — „umazany" nazwany był dlatego, gdyż w dawnych czasach inkwizytorzy smarowali oskarżonych rybim tłuszczem i turlali w pierzach. Frankistowska inkwizycja zna tortury o wiele efektowniejsze. Ramon Via przeszedł przez wszystkie. Przechadzka po brzytwach, „elektryczna żona", „samolot" — specjalny aparat, do którego przywieszają ofiarę głową w dół, póki krew nie wytryśnie z uszu.

Znudzeni zadawaniem tortur, kaci frankistowcy rzekli raz Ramonowi Via:

— Jeżeli przemówisz, puścimy cię wolno.

— Nie wy mi dacie wolność, ale moi koledzy i wtedy przemówię.

I przemówił. Partyzanci Malagi zorganizowali jego ucieczkę, skazany uprzednio na śmierć, stał się oskarżycielem. Opublikował wstrząsającą broszurę: „Oskarżam" — niesamowity dokument demaskujący całe okrucieństwo frankistowskich zbrodni. Ramona Via, uczestnika francuskiego ruchu oporu w Oranie i Algierze trzy razy skazywał na śmierć rząd Vichy, nie uniknął zaś śmierci z rąk swoich. Czekali na niego na rogu. Ze wszystkich stron podniosły się rewolwery. Niegdyś z drużyną partyzancką stawiał czoło całym oddziałom esesowców. Teraz sam rzucił się na pluton gwardii i padł przeszyty kulami.

Tacy są hiszpańscy partyzanci. Sanchez Viedma, znany we francuskich oddziałach bojowych pod pseudonimem „Toresa" zmarł w lochach Generalnego Urzędu Bezpieczeństwa w Madrycie, przeszedłszy przez wszystkie tortury i przewlekłą agonię. Setki zabitych bohaterów wzywają Hiszpanię do boju.

Strajk

„Skończyliśmy z czerwonym świętem 1-go Maja" — radio — Madryt — 30 kwiecień 1947 r.

Franco skasował święto pierwszego maja, nie mógł go jednak wydrzeć z serc robotników hiszpańskich. Bilbao — to centrum przemysłu metalurgicznego. Kraj Basków to kraj żelaznej rudy i żelaznych ludzi.

Ciecze tutaj rzeczka Nervion — zabarwiona minerałami spoczywającymi na dnie. Baskijski hymn zawiera takie słowa:

„Wody Nervionu różowe od krwi..."

To przelana w walce krew robotników i całego narodu. 80 dni i 80 nocy opierało się Bilbao samolotom Hitlera i Franco.

Najlepszą stal Hiszpanii wytapiają huty Bilbao. W dniu pierwszego maja 47 r., nie uchylili się robotnicy baskijscy od udziału w święcie ludzi pracy całego świata. W ten dzień nie biły młoty po kuźniach, nie szczękały wagonetki, nie płynął ognisty metal.

Ponad 90% robotników nie zjawiło się w zakładach pracy. Franco usiłował stosować dwa środki: intrygi falangowych syndykatów i groźbę. Bez skutku. Robotnicy podporządkowali się zarządzeniom podziemnych demokratycznych syndykatów — uznają bowiem tylko jedną władzę — Radę Oporu.

To nie był zwyczajny strajk ekonomiczny, to był wielki strajk polityczny o prawa demokratyczne pracujących. Dzisięć dni trwała walka. Do strajku przystąpili robotnicy innych gałęzi przemysłu. Wywołało to entuzjazm, w całym kraju podkreśliło międzynarodową solidarność świata pracy.

I robotnicy zwyciężyli. Spełniono ich żądania. Wtedy przystąpili do pracy. Franco chciałby zemścić się na strajkujących, nie zna jednak prowodyrów. Strajk w Bilbao nie był faktem oderwanym, był dopiero początkiem walki. Wykazał dojrzałość środowisk robotniczych, poczucie międzynarodowej solidarności świata pracy. Wykazał jeszcze, że demokracja hiszpańska potrafi przejmować inicjatywę i że ludzie pracy prządują w walce.

A chłopi? Parobczaki, którzy dziesięć lat temu stawali z myśliwskimi strzelbami w okopach madryckich, by powstrzymać faszystów, dzisiaj widłami i sierpami zabraniają falangistom grabić plony Fuenteovejuny i Leridy, wiosek Kastylii i Leonu.

Witold Łukaszewicz

IDEOLOGIA SZYMO

W POWSTANIU I NA EMIGRACJI

Szymon Konarski „z czynu wyszedł, nie z księgarni". W tym dobitnym wyrażeniu, którego używał Ludwik Mierosławski na określenie ludzi walki, zawiera się pełna charakterystyka osobowości Konarskiego. Lata szkolne spędził wśród rosnącego ucisku caratu na ziemiach Królestwa po wykryciu działalności niepodległościowej Waleriana Łukasińskiego i towarzyszy. Bohaterska postać Łukasińskiego wryła się głęboko w pamięć ucznia szkoły łomżyńskiej Szymona Konarskiego i świeciła mu odtąd jak gwiazda przewodnia w mozolnej wędrówce życiowej. Życie Szymona było twarde, zahartowało ono duszę na lśniącą stal, której się nie jęła nigdy rdza kompromisów, oportunizmu i służalstwa.

Konarski, opuszczając w 17 roku życia mury szkoły wojewódzkiej w Łomży, wybrał sobie zawód wojskowy, chciał być żołnierzem, jak jego ojciec i dziad służyć ojczyźnie, wiernie, bez reszty. Nie był tak szczęśliwy jak oni. Ojczyzna, której chciał służyć była w niewoli, wojsko polskie pod butem chama w mitrze Romanowych Wielkiego Księcia Konstantego, losy królestwa w rękach kata w koronie Mikołaja — „Pałkina". Nad Newą unosiły się cienie pomordowanych przez niego rewolucjonistów rosyjskich — dekabrystów: Pestela, Murawjewa — Apostoła, Bestużewa, Rylejewa. Tworzyły one panoramę dla carskich metod rządzenia w Rosji i w Królestwie i miały stanowić groźne memento dla wszystkich „niebłahonadiożnych" (nieprawomyślnych).

Bohaterska śmierć dekabrystów i wielkość ich ofiary na ołtarzu wyzwolenia narodu rosyjskiego spod jarzma caratu utkwiły również głęboko w świadomości Konarskiego.

Gdy wybuchło powstanie listopadowe i udręczony naród polski porwał się do walki z caratem, Konarski stanął ochoczo w szeregach walczących „za naszą i waszą wolność", złożył dowody dzielności i umiejętności wojskowych, zdobył odznaczenia bojowe i awanse. W stopniu kapitana przekroczył granicę pruską, przeszedł germańską „kwarantannę" i wiosną 1832 r. znalazł się na emigracji we Francji w Zakładzie bezansońskim.

Zamknęła się jedna karta życia bez skazy, otwarła się druga, tułacza, konspiracyjna, męczeńska. Konarski nie zapuścił pióra w brudy emigracyjne, nie rozpłynął się w szumnej, swarnej, mętnej najczęściej retoryce gryzących się nawzajem obozów. Konarskiego jako człowieka czynu pociągała przede wszystkim konspiracja prowadząca do prawdziwej rewolucji ludów przeciw tyranom i do niepodległej, demokratycznej, republikańskiej Polski. Szymon został karbonarem (węgiarzem), studiował pilnie ruchy społeczne Wielkiej Rewolucji Francuskiej w ujęciu saint-simonisty Laponneray'a przetrawił doktryny socjalistyczno-utopijne Saint-Simona, Fouriera, Owena, Cabeta i innych. Czuł wstręt do burżuazyjnej monarchii Ludwika Filipa, drżącej przed carską nahajką; widział shanbioną trójkolorową chorągiew paryskich sankiulotów przez bankierów, fabrykantów, armatorów, a nawet sklepikarzy, co w bałwochwalczym kulcie franka zapomnieli o wolności i spychali brutalnie obrońców lipcowych barykad (1830) do podziemia. Taka Francja nie mogła pociągać Konarskiego. Zawarł więc sojusz bratni z konspirującą lewicą francuską i pod sztandarem węglarskim poszedł siać gniew ludów przeciw ukoronowanym tyranom. Widzimy Szymona jako partyzanta Zaliwskiego w r. 1833 w augustowskim ze strzelbą na ramieniu agitującego napróżno wśród włościan za powstaniem. Myślał wówczas, że wystarczy ludowi rzucić płonące nienawiścią do caratu słowa, a on porwie widły, siekiery, kosy i śladem Bartosza Głowackiego runie lawiną na carskie armaty.

Niestety, stało się inaczej. Chłopi ściśnięci obrożą pańszczyźnianą nie usłuchali wezwania Konarskiego, nie poszli do partyzantki. Nie poszła do niej również poza nielicznymi wyjątkami majętna szlachta, truchlejąca na samą myśl o zmianach na korzyść ludu w ustroju folwarczno-pańszczyźnianym.

Z ciężkim sercem przekraczał Konarski po raz wtóry kordon pruski, wycofując się z augustowskiego na emigrację. Areszt, więzienie, badania pruskie, wreszcie powrót do Brukseli pod skrzydła Lelewela — oto finał wyprawy do Polski w r. 1833. Konarski wyniósł z niej pożyteczną prawdę: przyszłe powstanie polskie, aby było skuteczne, musi oprzeć się nie tylko na szlachcie, lecz przede wszystkim na masach chłopskich i na mieszczaństwie. Nie może ono być dziełem przypadkowego działania, aktem pochopnym, krótkotrwałym, lecz wynikiem planowej, długofalowej propagandy, której będzie towarzyszyło życzliwe ustosunkowanie się szlachty do ludu i gotowość z jej strony do zniesienia poddaństwa i pańszczyzny oraz przeprowadzenia uwłaszczenia.

Zaledwie stanął w Brukseli, gdy wyrosło przed Konarskim nowe zadanie — marsz do Szwajcarii, do kolegów — węglarzy z „Hufca Świętego", by wspólnie z nimi przygotowywać wyprawę do Sabaudii. W pożyczonym ubraniu, butach i bieliźnie, prawie bez pieniędzy, grą na flecie zarabiając na życie, śpieszył Konarski przez Niemcy do Bienne w kantonie berneńskim. Niezmordowany, z wiarą w świętość sprawy rewolucyjnej, zwycięstwo ludów i upadek tyranów pędził Szymon tam, gdzie świtała nowa i tym razem ułudna jutrzenka swobody. Idealista i romantyk szukał Polski, jak wielu jego ziomków emigrantów, w śnieżnych górach Sabaudii. Twarda rzeczywistość rozwiała brutalnie kruche rachuby. Zdrada Ramoriny, rozsypka, prześladowania policyjne, praca w fabryce zegarków w Chaux-des-fonds, by w oczekiwaniu na nową okazję do boju nie marnować bezczynnie czasu i zdobyć jakiś zawód, kilkakrotne wycieczki do Bienne w związku z przygotowaniami do zorganizowania „Młodej Polski", rozmowy z Mazzinim— zamykają działalność Szymona Konarskiego na ziemi szwajcarskiej.

*) Fragment z pracy pt. „Szymon Konarski", która ukaże się nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Książka" w Warszawie.



Szymon Konarski
(1808—1839)

Obarczony odpowiedzialną misją przez Komitet Centralny Tymczasowy „Młodej Polski", wracał Konarski do Francji z nową wiarą, że ojczyznę wskrzesić można własnymi siłami bez oglądania się na pomoc ludów lub gabinetów. Wierzył za Mazzinim w misję dziejową własnego narodu, w solidarne współdziałanie ludów przeciw despotycznym rządom, w zmierzch Świętego Przymierza. Widział w ojczyźnie potężną siłę w uśpieniu, shańbioną wielowiekową niewolą, deptaną ekonomskim butem, jak bydło pędzoną na rzeź przez carskich generałów i oficerów, widział lud polski, cichy, pracowity, dobry, pobożny. Puścić w ruch tę lawinę, aby zmyła wszystkich służalców despotyzmu, wszystkich jaśnie wielmożnych świeckich i duchownych, z tytułami i bez tytułów dziejowej hańby, pijawki plugawe, wysysające krew z chłopów — oto cel, któremu Konarski poświęcał ciało i duszę.

Już wcześniej, przed wyprawą sabaudzką, poznał Walentego Zwierkowskiego, męża zaufania Joachima Lelewela i wciągnął go do „Młodej Polski". Teraz, od jesieni 1834 roku był z nim w ścisłej współpracy przy zakładaniu „gmin" i werbowaniu członków w zakładach emigracyjnych. Zarabiał na życie, wyrabiając cylindry do zegarków. Stan nastrojów Konarskiego po przyjeździe ze Szwajcarii do Paryża, ilustruje dobitnie jego list z dnia 25 września 1834 r. do Hipolita Mierosławskiego. Żalił się w nim Szymon na nieżyczliwy los, który oddalał od niego ojczyznę. Trawiła go żądza walki na ziemi rodzinnej. Pociechę znajdował „w doskonaleniu siebie dla zaniesienia gałązki swobody w kraj, we wsie rodzinne, dla otarcia łez biednym nieszczęśliwym chłopkom polskim". Od 20 miesięcy nie miał listu od rodziny... Ciężko mu znosić to osamotnienie, ale nie poddawał się depresji, duch tężał, wola nabierała mocy; ukształtowała się wśród rozmyślań nad Polską postawa ideologiczna: „nienawidził ludzi bez czucia", „gubiących kraj czartoryszczyków i wszelakiego rodzaju arystokratów". Na życie zarabiał dosyć, ale nie był z niego zadowolony, do szczęścia brak mu było wolnej ojczyzny. „Głodu nie cierpię — pisał — jem, śpię i pracuję, zupełnie tak jak wół, bo resztę, czyli to, co życiem człowieka nazwać można, wydarli nam wszystkim, pozbawili nas wszystkiego, do czego nas natura przeznaczyła. O, Hipolicie, gdybyśmy mogli doczekać momentu naszej kolei".

W oczekiwaniu na ten moment pomagał Konarski Janowi Czyńskiemu w redagowaniu radykalnego dwutygodnika „Północ" — pisma, „poświęconego szczęściu ludów północno - wschodnich", przede wszystkim polskiego i rosyjskiego. „Północ" głosiła oswobodzenie Polski przez rewolucję lub wojnę, przez powstanie milionów carskich niewolników lub przez wojną państw zachodnich z Mikołajem - Pałkinem. W jednym jak i w drugim wypadku Polska może odzyskać niepodległość, naród swobodę i wolność.

Wolność nie spadnie z nieba, nie zdobędzie się jej przez półśrodki, lecz przez konspiracyjne działania, które przygotują rewolucję, zdolną do skruszenia obcego jarzma, obalenia pańszczyzny, do nadania ziemi chłopom na własność i wprowadzenia równości politycznej, cywilnej, społecznej i religijnej wszystkich obywateli.

Biada magnatom i kapitalistom (burżujom), którzy zechcieliby przeciwdziałać takiej rewolucji i skąpić środków na jej przeprowadzenie. Książęta, hrabiowie, baronowie, ordynaci, dziedzice, bankierzy, monopoliści, przedsiębiorcy, co dla cara nie szczędzili milionów, powinni teraz zapłacić zaległy dług społeczny i dostarczyć zasobów dla rewolucji oraz „na uposażenie klas pracujących" na wsi i w mieście czyli t. zw. potrzebnych (chłopów, drobnych rzemieślników, robotników itp.).

Walka o wolność musi być aktem solidarnego działania wszystkich klas narodu: szlachty, chłopów i mieszczan, aby była uwieńczona powodzeniem. W walce tej „porównają się różnice społeczne, majątek pojedyńczych stanie się skarbem publicznym, cała ludność zamieni się w braci żołnierzy". Tylko władza silna, oparta o cały naród, „z wszelką własnością jako funduszem wojennym" może tą walką kierować i realizować hasło „wszystko dla ojczyzny, wszystko dla ludu".

Lecz oswobodzenie i uszczęśliwienie tego ludu nie może być dziełem jednego dnia. Masy są w ciemnocie, niewoli i nędzy. „Przesądy, wzajemna nienawiść, samolubstwo dzielą synów jednej matki, dzieci jednego Boga". Skinieniem nie rozleje się światła potoków, nie wyrwie się z nędzy ubogich. Powszechna swoboda rodzi się przez „wstrząśnienia, bóle, walki, krwi rozlewy". Ona jest naczelnym celem usiłowań Konarskiego i redakcji „Północy". „Równość, formy demokratyczne są środkiem jej stałego utrzymania. Przy zachowaniu form demokratycznych ani pojedyńczy despota, ani stutysięczna kasta nie zdoła poniewierać milionami", bo te formy zapewniają równe prawa dla wszystkich, łączą dobro powszechne z osobistym. Demokratyzm — jak najbardziej szeroki — to rękojmia szczęścia — i doskonałości społeczeństwa. Aby do takiego stanu dojść, trzeba „obalić zewnętrzny i wewnętrzny ucisk. Ta epoka walki z wewnętrznymi i zewnętrznymi nieprzyjacioły, jest u nas stanem przejścia", stanem wyjątkowym, który ma swój wyłączny charakter, swoje wyłączne, wyjątkowe prawa — pisał Konarski w artykule p. t. „Stan przejścia i ostateczne urządzenie społeczności". („Północ" Nr 8 z dnia 30 kwietnia 1835 r.).

Nie wszystkie z przytoczonych wyżej poglądów, które zostały wypowiedziane na szpaltach „Północy", były autorstwa Szymona Konarskiego. Inspirował je głównie Jan Czyński, utrzymujący zażyłe stosunki z kołami rewolucyjnymi francuskimi i europejskimi, entuzjasta Fouriera. Wypowiedzi Konarskiego w „Północy" nie były w żadnym razie jakimś oficjalnym programem społeczno-ekonomicznym „Młodej Polski". W trosce o lud i jego moralność napisał Konarski artykuł p. t. „Zbrodnie ludu są skutkiem źle urządzonego społeczeństwa", w którym uznał podpalanie dworów przez chłopów za wynik pańszczyźnianego ucisku ze strony dziedziców; mordowanie zaś nieślubnych niemowląt przez dziewczęta chłopskie za następstwo nędzy i barbarzyńskich przesądów, panujących powszechnie na wsi. Więzienia i szubienice nie usuną tych zbrodni pospolitych wśród ludu polskiego. Uczynić to może tylko obalenie tyranii i niesprawiedliwości przy jednoczesnym krzewieniu oświaty wśród chłopów.

Z gruntownej lektury artykułów „Północy" wynosi się przeświadczenie, że jej redaktorzy głosili zwykły egalitaryzm w dziedzinie społeczno - gospodarczej, uznawali własność prywatną i równe do niej prawo każdego obywatela. Chcieli „uszczęśliwienie włościan pogodzić ze swobodą szlachty, ze szczęściem reszty mieszkańców bez różnicy stanu, wiary i powołania".

Nie były to poglądy, zwłaszcza w dziedzinie społeczno - ekonomicznej jasne, konsekwentnie przemyślane. Dostrzega się także w wywodach „Północy" liczne sprzeczności, pomieszanie pojęć: lud i naród, lud i społeczeństwo. Miejscami doktryny: Babeufa Fouriera, Saint - Simona przeplatają się z lelewelistyczną teorią gminowładztwa w Polsce.

Typowe poszukiwanie najlepszej, najszczęśliwszej formułki ustrojowej dla Polski, mającej odrodzić się przez rewolucję, bądź przez wojnę państw zachodnich z carską despotyczną Rosją.

Pobyt w Paryżu i współpraca ze Zwierkowskim zadecydowały o przyszłości Konarskiego. Rwący się do działania 27-letni kapitan, mający opinię nieustraszonego konspiratora, nawiązał przez Zwierkowskiego stosunki z kierownictwem tajnego, ponadpartyjnego, niepodległościowego Związku Dzieci Ludu Polskiego; wszedł do jego grona i zgłosił się na emisariusza.

EMISARIUSZ

Lelewel wówczas podejmował szeroko zakrojoną akcję w kraju, oficjalnie pod firmą „Młodej Polski", faktycznie jako szef rewolucyjnego Związku Dzieci Ludu Polskiego. Szymon Konarski był dla Lelewela właściwym człowiekiem do prowadzenia roboty spiskowej na ziemiach polskich. Wspierać go mieli bracia Adolf i Leon Zalescy oraz wysłany wcześniej, niefortunny emisariusz Tadeusz Żabicki. Wydalenie Konarskiego z Francji w końcu maja 1835 roku i wyjazd jego do Anglii wraz z Leonem Zaleskim i Adamem Sperczyńskim przyśpieszyły sprawę emisarki.

W Londynie zetknął się Konarski z Kręгowieckim, Worcellem, Pułaskim, przygotowującymi secesję żołnierzy sekcji Portsea-Portsmouth z Towarzystwa Demokratycznego Polskiego dla założenia odrębnej organizacji emigracyjnej o silnym zabarwieniu komunistycznym pod nazwą Lud Polski (Gromady „Grudziąż" i „Humań"). Krótki pobyt Konarskiego w Londynie nie pozwolił mu na bliższe rozejrzenie się w dążnościach skrajnych demokratów z „Gminy" londyńskiej.

W końcu czerwca 1835 r., po krótkiej naradzie z Lelewelem w Brukseli, stanął Konarski w Krakowie, który był wówczas kierowniczym ośrodkiem konspiracji w kraju. Rola emisariusza w reorganizacji Węglarstwa Polskiego i samodzielnych kół Towarzystwa Przyjaciół Ludu w łączące oba związki nadrzędne, jednolite Stowarzyszenie Ludu Polskiego była niezmiernie doniosła. Konarski postawił właściwie kropkę nad i na tym, co do jego przybycia zdziałali: Żabicki, Goszczyński i Januszewicz. Konarski dopiero wprzęgł Zbór Główny Stowarzyszenia Ludu Polskiego w rydwan polityki demokratyczno - republikańskiej, spiskowo-niepodległościowej, narodowej, ojca lewicy emigracyjnej — Joachima Lelewela.

Lelewel nie był rzecznikiem programu klasowego. Przez lud rozumiał cały naród: chłopów, mieszczan i szlachtę. Rewolucję społeczną wyobrażał sobie jako bezkrwawą przemianę, równającą w prawach wszystkie stany, znoszącą poddaństwo i pańszczyznę, wprowadzającą powszechne uwłaszczenie chłopów, zupełną swobodę sumienia i równouprawnienie wszystkich wyznań, wreszcie oświatę powszechną, bezpłatną, państwową, narodową. Lelewl chciał widzieć w niepodległej Polsce społeczeństwo bezstanowe. W ówczesnej polskiej rzeczywistości politycznej, a szczególnie społeczno - gospodarczej, był to program bardzo radykalny, rewolucyjny. Doceniając w całej pełni rolę chłopów w przyszłym powstaniu i wysuwając hasło ich usamowolnienia, uwłaszczenia, unarodowienia, Lelewel nie popadał w ludomanię, był tylko rzecznikiem własnej teorii o gminowładztwie. Program ludowy Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, a szczególnie Ludu Polskiego, raził Lelewela swą klasowością i ostrością sformułowań. Nawet wypowiedzi redakcji „Północy" uważał Lelewel za „szumne ekspresje", za zbyt rewolucyjne. Hasło „delenda nobilitas", głoszone z taką gorliwością przez emigracyjną szlachtę, przesiąkniętą ideami socjalistycznymi, nie znajdowało uznania u Joachima Lelewela, który doceniał znaczenie szlachty dla pracy konspiracyjnej w kraju jako jedynej w tym czasie grupy społecznej, uświadomionej narodowo.

Takie podejście Lelewela do kraju musiało zaznaczyć się przede wszystkim w planie działania, wypracowanym dla Szymona Konarskiego. Przewidywał ten plan cztery podstawowe wytyczne dla emisariusza:

1) scalenie wszystkich organizacji spiskowych w kraju pod jednym kierownictwem, ulegającym dyrektywom Lelewela;

2) zjednanie ludu dla rewolucji przy pomocy szlachty i duchowieństwa;

3) przygotowanie zasobów do powstania;

4) przebudowa społeczna Polski w państwo bezstanowe, oparte na zasadach demokratycznych i republikańskich.

Dla realizacji tych celów miał emisariusz przygotować ruch narodowy i użyć wszelkich środków moralnych i materialnych, jakie uzna za potrzebne.

Wytyczne Lelewela przyjęło Stowarzyszenie Ludu Polskiego pod marką zaleceń „Młodej Polski" i starało się je urzeczywistniać w swojej działalności konspiracyjnej. Jej dynamika, zwłaszcza do chwili przeniesienia Zboru Głównego z Krakowa do Lwowa, świadczy o tym najbardziej przekonywująco. Szymon Konarski wprowadzał w życie punkt po punkcie z instrukcji Lelewela na Rusi i Litwie w latach 1836 — 1838 (do maja).

Zjednoczył wszystkie polskie organizacje spiskowe na ziemiach zabranych pod swoim kierownictwem w Związku Ludu Polskiego; wprzągł prawie 3000 szlachty oraz część duchowieństwa polskiego i ruskiego do pracy nad zjednaniem ludu dla powstania; gromadził zasoby do tego powstania w ludziach i w sprzęcie wojennym; budził przez szeroko zakrojoną propagandę wśród szlachty potrzebę usamowolnienia, uwłaszczenia i unarodowienia masy chłopskiej na zasadach pełnej demokracji.

Świadczy o tym dobitnie „Program działań narodowych", rozwinięty przez Konarskiego i mający stanowić część zasadniczą ustawy Związku Ludu Polskiego, przyjętej jesienią 1837 roku na zjeździe spiskowych w Żytomierzu. (Patrz: Wybór z pism).

Program ten uznawał za przedmiot działań narodowych: 1) utrzymanie narodowości przez głoszenie czystych zasad ewangelii, upowszechnianie i udoskonalanie języka polskiego, budzenie wspomnień narodowych, przez polską pieśń, książkę, teatr, taniec i t.d.; 2) budzenie ducha poświęceń dla dobra wolności i ludzkości, „gdyż nie męczeństwem, ale odrętwiałością i upadkiem ducha zamierają narody"; 3) krzewienie oświaty, szacunku dla włościan; 4) poprawę obyczajów przez wpajanie zamiłowania do pracy, poważania dla maluczkich, tępienie pijaństwa, rozpusty i chciwości, okrutnego obejścia się z chłopami i t.d.; 5) przysposobienie ludu rolniczego na synów ojczyzny i 6) prostowanie fałszywych opinii. Dwa ostatnie punkty wymagają szerszego omówienia, gdyż mieszczą się w nich zasadnicze, najważniejsze wskazania, zawarte w

NA KONARSKIEGO*)

„programie działań narodowych" Szymona Konarskiego.

„Sposobić lud rolniczy na przyszłych obrońców ojczyzny i prawych obywateli jest najważniejszym usiłowaniem naszym", jest rękojmią powodzenia powstania i odzyskania wolności. W kraju rolniczym, jak polski, włościanin stanowi główną siłę narodu. „Należy się do niego zbliżyć i uznać w nim brata pełnoprawnego, syna przyszłej ojczyzny". Chłop powinien zrozumieć, że podchodzi się do niego szczerze, z sercem, że szlachta gotowa jest znieść poddaństwo i pańszczyznę, uwłaszczyć wieśniaka, tylko rząd zaborczy stoi temu na zawadzie. W wolnej Polsce chłop będzie pełnoprawnym obywatelem, byt jego ulegnie poprawie przez posiadanie własności gruntowej, przez możność wolnego przejścia do handlu lub przemysłu i przez zmniejszenie podatków publicznych. Frontem do wsi — oto główne zadanie propagandowe wśród szlachty. Niech szlachta folwarczna zatroszczy się o codzienne życie chłopa i jego rodziny, śpieszy w rązie potrzeby z chętną pomocą lekarską i materialną, obchodzi się z nim łagodnie, a znikną przestępstwa wsi, zmniejszą się nałogi: pijaństwo, włóczęgostwo, próżniactwo. Należy po wsiach założyć zapasowe magazyny żywności, kasy pożyczkowe, rozwinąć przemysł ludowy, udoskonalić kulturę rolną przez co podniesie się dochodowość gospodarki chłopskiej.

Trzeba również powołać specjalne sądy gromadzkie, złożone z samych chłopów, o wysokim poziomie moralnym, aby wyrokowały o przewinieniach swych współbraci. Dziedzic nie powinien dłużej hańbić siebie wymiarem chłopom chłosty i innych kar.

Duchowieństwo należy pociągnąć do pracy nad umoralnieniem ludu wiejskiego.

Art. V programu zalecał również szlachcie, należącej do związku, aby starała się oddziaływać na masy żydowskie w kierunku ich uobywatelnienia i unarodowienia. Wychować synów Izraela w przywiązaniu do Polski, do wolności, polepszyć ich byt materialny przez „udoskonalenie rzemiosł, stworzenie wolnego handlu", oduczyć wreszcie od lichwy i szachrajstwa — oto również ważne zadanie do wykonania na najbliższą przyszłość.

Ostatni punkt programu „działań narodowych" wymierzony jest przeciw obozowi emigracyjnemu i krajowej arystokratycznej reakcji, wierzącej tylko w gabinety i ludzi o historycznych nazwiskach. Propaganda arystokratyczna usiłuje wmówić w szlachtę, że Polska powstanie dzięki pomocy rządów zachodnio-europejskich, a nie wysiłkiem własnym 20 milionowego narodu. Gabinety Polski nie wskrzeszą, bo są narzędziem królów, a królowie mają sprzeczne interesy z narodami. Naród polski jest sprzymierzony z innymi narodami wspólną walką z despotyzmem. Działania rewolucyjne innych narodów „są cząstką sprawy naszej..., gdzie walka za wolność, tam walka za nas".

Nie wskrzeszą Polski ludzie o historycznych nazwiskach. „Albowiem oddzielną w narodzie stanowiąc kastę, będąc małą jego cząstką, w innej żyjąc sferze, nie mogą znać ani potrzeb, ani ducha, ani środków jego". Chłopów, tę najliczniejszą klasę narodu polskiego, należy zrównać ze szlachtą w prawach politycznych i w prawach do równego „używania darów Boga". Przesąd dzielenia ludzi według urodzenia jest niegodny i ubliżający naturze, godzi on również w zwartość narodu. „Nie masz ani pierwszej, ani ostatniej klasy, nie masz różnicy stanu w obliczu Boga, rozumu, ojczyzny i śmierci". Te zasady, przestrzegane i urzeczywistniane przez szlachtę, wesprą sprawę wskrzeszenia Polski i sprowadzą rewolucję na właściwą drogę rozwoju.

Konarski zdawał sobie dobrze sprawę z trudności, jakie miał do przezwyciężenia taki program działań narodowych na Rusi i Litwie, „gdzie lud dźwigał najcięższe brzemię niewoli i gdzie panowie od feudalizmu nie odłączali swoich patriotycznych uniesień" — jak to słusznie podkreślił Lucjan Siemieński w „Noworoczniku Demokratycznym" z r. 1842, w artykule poświęconym pamięci emisariusza. Konarski dał temu wyraz niejednokrotnie w przemówieniach do związkowych, szczególnie do rwącej się do nieprzemyślanych działań młodzieży.

„Nie łudźcie się tym pięknym obrazem (przyszłości), nie doczekamy go nawet oglądać, do tego trzeba olbrzymiej pracy i wytrwałości. Stawiamy na jedną stawkę los nasz i życie, możemy przegrać odrazu wszystko, przygotować się musimy na wiele i bardzo wiele cierpień, jednak nieostrożność drobna może uczynić, że całe życie nasze będzie beznadziejnym konaniem na Syberii" — oto fragment takiego przemówienia, zanotowany przez Eustachego Iwanowskiego we „Wspomnieniach lat minionych" (str. 199).

Słowa te się sprawdziły. Pokolenie Konarskiego nie doczekało niepodległości, drobna nieostrożność położyła kres działalności Związku Ludu Polskiego. Sybir przyjął nowych katorżników.

Czy warta była tych ofiar Konarszczyzna? Konarszczyzna była demokratycznym, republikańskim ruchem szlacheckim na Rusi i Litwie. Ruchem ludowym stać się nie mogła, bo trwała zbyt krótko, bo została złamana przez carat w pierwszej fazie swego rozwoju, w fazie apostolstwa Konarskiego wśród szlachty, której zamierzał następnie użyć do wielkiej misji oświatowo - wychowawczej wśród ludu wiejskiego.

„Przyszedłem tu (na Ruś i Litwę) — zeznawał Konarski przed komisją śledczą 22 sierpnia 1838 roku — w celu rzucenia myśli, która rozwinięta w kraju, mołaby kiedyś zmienić podstawę związku społecznego. Za Polskę z królem, chociażby Polakiem, za Polskę, napełnioną przywilejami, nie poświęcę jednej kropli krwi". Konarski był wspaniałym agitatorem — spiskowcem. Rozbudzał uczucia sprawiedliwości społecznej i chęć do walki ze stanowym i mikołajewskim despotyzmem. Usiłował stworzyć nowe, rewolucyjne siły w rozkładającej się moralnie szlachetczyźnie, by je z kolei przelać na lud i porwać go do walki o wolność. Wszystko, co było zdrowsze narodowo, ofiarniejsze wśród szlachty na Litwie i Rusi, drgnęło uczuciem ludowym, szczególnie młodzież obojga płci (Limanowski), ta młodzież kresowa, której życie do przybycia Konarskiego wypełniało bałagulstwo, huczne zabawy, rozpusta, paplanie po francusku. Konarski uczył ją „abecadła świata nowego", konspiracyjnego działania, kultu dla sukmany chłopskiej, wykazywał jej „nicość i niedolę teraźniejszego życia" w zestawieniu ze „szczęściem nowej ludzkości". Wiązał tę młodzież przez lekturę pism lewicowego odłamu emigracji z obozem rewolucji europejskiej.



Szymon Konarski w więzieniu

Niezmordowany wysiłkiem, był Konarski w ciągłym ruchu, w ustawicznym działaniu. Z czynu wyszedł, nie z księgarni! „Czemu ja się rozedrzeć nie mogę, czemu być u was nie mam czasu — pisał do Lelęwela po niespełna rocznym pobycie na Rusi i Litwie — czemu Was uściśnieniem nowego świata jaki się tu budzi, powitać nie mogę?"

Czy się ten nowy świat naprawdę budził na kresach dawnej Rzeczpospolitej, „gdzie panowie od feudalizmu nie odłączali swoich patriotycznych uniesień"? Trudno na to pytanie odpowiedzieć. Konarski twierdził, że tak i dostarczał Lelewelowi przekonywujących argumentów. Oto one: rozrost konspiracji wśród szlachty, zmiana na lepsze w ustosunkowaniu się dziedziców do służby i chłopów pańszczyźnianych, udział kobiet w pracy oświatowej wśród ludu, nawiązanie łączności z rewolucjonistami w wojsku carskim.

W styczniu 1838 r. powiadamiał Konarski Lelewela o zakończeniu pierwszej fazy działań. Odtąd konspiracja miała rozwijać się własnym, krajowym zasobem sił rewolucyjnych, „rozlać wiarę i uczucie i oświatę ogólniej", słowem przejść na masy chłopskie.

(Porównaj listy Konarskiego z lat 1836—1838 do Lelewela w wyborze z pism).

Związek Ludu Polskiego był w tym okresie u szczytu swego rozwoju: miał wyszkolone naczelnictwo, sprawną na ogół siatkę konspiracyjną, ogarniającą Ruś i Litwę, a nawet Dorpat i Odessę, posiadał kasę narodową, brak mu było tylko drukarni. Powinien więc dalej rozwijać się własnym dynamizmem, „działać własną chęcią" — jak nadmieniał Konarski.

I cóż się stało? Uderzył grom: policja carska przychwyciła Konarskiego i Rodziewicza w maju 1838 r. Zabrakło wodza, załamał się w śledztwie Rodziewicz, posypały się aresztowania, setki spiskowców napełniły więzienia wileńskie i kijowskie. Konspiratorzy szlacheccy potracili głowy, brano ich jak baranów z dworków, kuto w łańcuchy i sadzono do kibitek. Związek Ludu Polskiego nie wyłonił ze swego grona następcy Konarskiego, rozpadł się, zamarł w bezwładzie, znikł... Młódź szlachecka, mężna w salonach, na polowaniach, nawet w pojedynkach, nie poszła do partyzantki, którą „apostołował" Konarski wraz z kultem dla chłopskiej sukmany. (Por. list z dn. 23.IX.1836).

Szlachetczyzna na Rusi i Litwie nie oyła zdolna „działać własną chęcią". Konarski się mylił, mylił się również Joachim Lelewel: szlachta w swej masie, poza nielicznymi wyjątkami, nie miała dynamiki rewolucyjnej, bo jej mieć nie mogła, raz z tego powodu, że rewolucja, łącząca walkę o wolność z przebudową społeczną nie leżała w jej bezpośrednim interesie; po drugie dlatego, że proces rozkładu moralnego społeczeństwa szlacheckiego posunął się tak daleko, iż nawet przeszło dwuletnia działalność wychowawczo - konspiracyjna Związku Ludu Polskiego nie zdołała go zahamować.

Konarski nie zdążył wejść w lud, nie zaczął drugiej, najważniejszej fazy swej działalności konspiracyjnej — nie przysposobił „ludu roiniczego na synów ojczyzny". Była to największa tragedia życiowa emisariusza, tragedia nie tylko konarszczyzny, lecz również i Stowarzyszenia Ludu Polskiego w Galicji i w Królestwie Polskim (Świętokrzyżcy).

Zamknięty w celi, wymęczony torturami, dręczył się tą myślą jedyną, walczył z Bogiem o los tego ludu i pluł w niebo niełaskawe „po szatańsku śmiało" za to, że lud w niewoli.

Takim był emisariusz Związku Dzieci Ludu Polskiego i „Młodej Polski" — Szymon Konarski.

POSIEW KONARSZCZYZNY

Mimo załamania się i rozpadu konarszczyzny posiew jej nie był bez plonów. Młode pokolenia, karmione legendą konarszczyzny, coraz zwarciej formowały się frontem do ludu wiejskiego; drgnęła chłopską nutą lira polska, białoruska, ukraińska. Chłop zyskiwał prawo obywatelstwa w literaturze, w badaniach historycznych. (Por. Limanowski op. c. 1946, I, str. 355—6). Konarszczyzna przyśpieszyła wreszcie narodziny ruchu narodowościowego wśród Ukraińców, zaraziła ich dżumą wolności.

Konarszczyzna dała do ręki spiskowcom ukraińskim poezje Mickiewicza i „Słowa wieszcze" Lamennais'go, rozwinęła skrzydła Tarasowi Szewczence. (Porów. Marceli Handelsman: Ukraińska polityka ks. Adama Czartoryskiego przed wojną krymską. W-wa 1937, str. 5—6, 19). Proces Konarskiego obnażył barbarzyństwo panowania caratu na ziemiach polskich. Uwydatnił on też bezwzględność despotyzmu w stosunku do samych Rosjan i poruszył ich sumienia. Herzen przyznał, że „zaczynając od Konarskiego Polacy zupełnie inaczej patrzą na Rosjan". Ale Rosjanie zaczęli odtąd inaczej patrzeć na Polaków. „Moskwa, napozór senna i bezsilna, zajmująca się tylko plotkami i chodzeniem na nabożeństwa, ślubami i niczym więcej, ta Moskwa budzi się zawsze... i wyrasta do miary zdarzeń, kiedy burza grzmi nad Rusią". (Handelsman: op. c. 29—31).

Pomruków tej burzy nasłuchiwał wybladły carat, jej zwiastunem był bohaterski kapitan z korpusu Gejsmara Agłaj Kuźmin-Korowajew, niedoszły wybawca Szymona Konarskiego. Słyszał pomruki tej burzy również Joachim Lelewel, przejęty wielką ideą braterstwa narodów słowiańskich w walce z tyranią caratu, kiedy na uroczystej akademii żałobnej ku czci Konarskiego przemawiał we wrześniu 1839 roku w Brukseli do licznie zgromadzonych rodaków i Belgów tymi słowy:

„O Konarski!.. zapowiadałeś wolność i równość i oburzyłeś na siebie arystokratów i tyranów. Uczyłeś szanować człowieka i miłować ludzkość. Opowiadałeś braterstwo między ludźmi bez różnicy stanu, wyznania i narodowości. Powoływałeś czcicieli Jehowy, czy to wyznawców Mojżesza, czy Chrystusa, czy Mahometa, do tego samego dzieła. Słyszeli z ust twoich chrześcijanie obrzędu greckiego i łacińskiego, że nic innego tylko namiętności.... zaszczepiły wzajemny wstręt między nimi, że powinni w jedności ducha zanosić modły do Przedwiecznego, pracować wspólnymi siłami nad oswobodzeniem się z jarzma niewoli: dowiadywali się od ciebie, że geniusz Słowian polega na braterstwie, że Rosjanie równie jak Polacy i wszystkie narody słowiańskie mają męczenników swej sprawy, powinni podać sobie ręce i działać jak jeden człowiek. Jeżeli kiedy sprawa Słowian odniesie zwycięstwo, imię Konarskiego wielbione będzie na całej przestrzeni ich krajów, jak jest teraz w naszym gronie".

(J. Lelewel: Mowy i pisma polityczne. Polska. dzieje i rzeczy Jej, wyd. Żupański, Poznań 1846, t. XX, str. 282—284).

Zbliżały się wielkie wypadki nie tylko w „rodzie słowiańskim". Europa miała drgnąć spazmem rewolucji. Ludy czekały na hasło do wywracania tronów. Zbliżała się wiosna 1848 r. W przededniu wielkich wydarzeń odbyła się w Brukseli 14 lutego 1848 roku żałobna uroczystość na cześć męczenników rosyjskich — dekabrystów i Szymona Konarskiego. Uczestniczyli w niej licznie zgromadzeni Polacy, Belgowie, przedstawiciele Międzynarodowego Towarzystwa Demokratycznego, tajnego Związku Komunistów oraz wielu rewolucjonistów różnych narodowości. Rosjan reprezentował wydalony z Francji rewolucjonista Bakunin. Lelewel złożył hołd bohaterstwu dekabrystów i zwrócił się następnie z płomiennym apelem do ludów słowiańskich, by solidarnie podjęły walkę z despotyzmem tronów: „Rosjanie, Polacy, Czesi, Serbowie, Słowacy, Kroaci, Bośniacy, Dalmasi, Raskowie, Bułgarzy, Illiryjczykowie powinni się uważać za braci, za jedną wielką rodzinę. Między nimi nie powinno być żadnego pierwszeństwa, żadnego przodowania: wszyscy są powołani działać dobrowolnie i jednozgodnie dla spólnej sprawy, każdy z tych narodów powinien pojąć, że braterstwo jest zasadą najściślejszego przymierza. Czy-to je nazwiemy federacją, czy unią, czy konfederacją, czy stanami zjednoczonymi, na takiej zasadzie prędko stanie umowa towarzyska.....".

„Lud na wszystkich punktach Słowiańszczyzny jest tą siłą żywotną, która może znieść wszelkiego nieprzyjaciela, lud wszechwładny, oparty na swojej demokratycznej zasadzie..... Szczere braterstwo, najsilniejsza podpora demokracji, ocali Słowian od wszelkiego zewnętrznego niebezpieczeństwa...".

Po tym generalnym apelu zwrócił się Lelewel do Bakunina, którego od r. 1844 pasował na następcą dekobrystów z następującym wezwaniem: „Przyjacielu Bakunin! Oświadczyłeś szlachetne uczucie swych ziomków. Obok grobu tych, którzy jakeś powiedział pierwsi przebyli przepaść, jaka zdawała się oddzielać oba narody, tych, którymi słusznie chlubić się możecie, waszych bohaterów, męczenników waszej wolności, obok ich grobu przyjmujemy z całym sercem oświadczenie waszego braterstwa, które z każdym dniem coraz bardziej wzmacniać się będzie. Chwała waszym męczennikom, dla których mamy największe uwielbienie. Oni to położyli zasady naszej zgody, naszego przymierza, podług których w spólnej sprawie działać będziemy... Obalmy naprzód tyrana, który nas uciemięża, tyranię, która nas upadla, podnieśmy kwestię ludu, obudźmy jego ducha demokratycznego, a wszystko się ułoży i pogodzi ze wspólną wolą wszechwładztwa obu narodów...

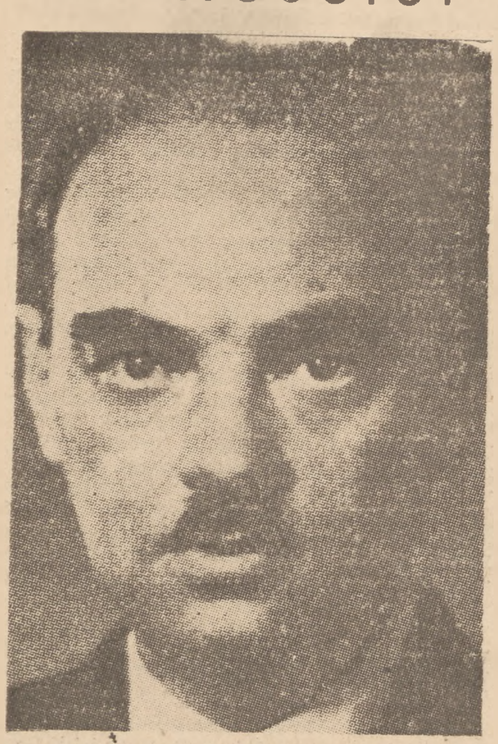
Belgowie i wy przyjaciele wszystkich narodów. Ożywieni uczuciem braterstwa wiecie, że bracia powinni się kochać. Bądźcie przekonani, że ta miłość utwierdzi odwieczne przymierze Rosjan z Polakami. Obecni na tym żałobnym obchodzie, byliśmy świadkami wylewu naszych uczuć braterskich. Powiedźcie wszystkim, coście widzieli i słyszeli". (Lelewel: op. c. str. 536—548).

Sojusz polskich żywiołów rewolucyjnych z rosyjskimi w walce z caratem i despotyzmem został zawarty. Przedstawiciele obu narodów: J. Lelewel i M. Bakunin dokumentowali go na forum międzynarodowym. Unosiły się nad nim cienie Pestela, Bestużewa, Rylejewa, Murawjewa - Apostoła, Kachowskiego i Szymona Konarskiego. Na sztandarze wspólnej walki o wolność i niepodległość zawisły krwią bratnią wypisane słowa: „Lud na wszystkich punktach Słowiańszczyzny jest tą siłą żywotną, która może znieść wszelkiego nieprzyjaciela, lud wszechwładny, oparty na swojej demokratycznej zasadzie...".

Jest dziejową zasługą Konarskiego, iż przez swoją działalność i śmierć męczeńską przyczynił się w części do tego, że demokracja ludowa stała się dziś koniecznością w Polsce i fundamentem braterskiej współpracy narodów słowiańskich.

Zdzisław Skwarczyński

Kościół wojujący



Antoni Gołubiew

Powieść historyczna w Polsce ma bogatsze niż gdziekolwiek indziej tradycje, ale są to tradycje specyficzne. Najważniejszym bodaj rysem tych tradycji jest partykularyzm. Nie jest to jednak partykularyzm tematyki, choć i w tej dziedzinie nie zbyt wiele zrobiono, by można było wynieść nasz dorobek na rynki międzynarodowe. Raczej należałoby go nazwać partykularyzmem tendencji, partykularyzmem funkcji społecznej jaką przeznacza do wypełnienia swemu utworowi autor.

Wprawdzie udało się ongiś Sienkiewiczowi, że powieść jego (Quo Vadis) stała się własnością międzynarodową i to tak dalece, że w licznych jej obcych adaptacjach dla młodzieży zapominano o prawach autora, ale gros jego produkcji historyczno-powieściowej musi pozostać nieznane czytelnikowi zagranicznemu.

Istotą bowiem tej produkcji była swoista historiozofia na użytek pokolenia współczesnego: „służba narodowi". „krzepienie serc" nie zaś pasja odkrywcza. Pod tym względem **Trylogia** może być uważana za najbardziej znamienny dla naszej powieści historycznej utwór, choć mamy także **Faraona, Żywe kamienie i Krzyżowców.**

Lata powojenne przyniosły nam również kilka powieści historycznych, z których najambitniejszą wydaje się powieść Gołubiewa. Ten szybki start wydawniczy powieści historycznej, tuż po kataklizmie wojennym, po okresie w którym byt narodowy zagrożony był bardziej niż kiedykolwiek, upoważnia do postawienia pytania, czy analogiczne warunki historyczne dały podobne efekty.

Rozważmy tę sprawę na wspomnianej powieści Gołubiewa.

Wybór Gołubiewa padł na epokę pierwszych Piastów, a właściwie pierwszego koronowanego z nich. Czy to sięgnięcie do samych korzeni narodowego i państwowego bytu ma jakieś znaczenie?

Dwa są bieguny, między którymi oscyluje sprawa narodu i państwa polskiego w ujęciu Gołubiewa. Czytelnikowi wyznaczają je najogólniej tytuły poszczególnych tomów rozpoczętego cyklu (tytuł ogólny jest nazwaniem epoki), a więc: **Puszcza i Szło nowe.**

Elementem rzeczywistości zastanej w powieści jest puszcza zarastająca kraj, pierwotność form bytowania ludzkiego, wegetatywność życia zbiorowego i wybuchająca ponad nie żywiołowość popędów indywidualnych. To jest zaczyn na naród i państwo. Formować je zaczął Mieszko rwąc więzi rodowe, tworząc nadrzędny organ władzy: drużynę książęcą. Choć jednak wiele osiągnął w tej dziedzinie, choć ukoronował na zewnątrz swe poczynania przyjęciem chrześcijaństwa—proces był zbyt powierzchowny, by mógł przetrwać swego twórcę. Bolesław musi dokonać tego po raz wtóry. Tu zaczyna się w powieści to, co jest jej wątkiem dziejowym. Na wszystkich szczeblach życia społecznego przyśpiesza ten proces walka — walka o byt, o znaczenie społeczne, o dziedzictwo i władzę książęcą, o trwałość wznoszonej budowy. Uczestniczą w niej wszystkie siły rodzime: pierwotność i obca kultura, naturalna forma współżycia ludzi i organizacja powstała w ogniu nowych potrzeb. Na skrzyżowaniu tych linii stawia autor swych bohaterów, a właściwie masę ludzką. Prowadząc bowiem akcję w swej powieści wieloma nurtami, próbuje dać on coś w rodzaju przekroju socjologicznego państwa i narodu od pospolitego mieszkańca puszczy poczynając a kończąc na księciu: przekroju instytucji społecznych aktualnie istniejących oraz mechanizmu ich działania i przekształcania się.

Od obrazów demonstrujących rozkład anachronicznego ustroju rodowego przyśpieszonego najazdem przechodzimy do oglądania zaczątków nowej organizacji narzuconej społeczeństwu przez władzę: drużyny i dworu. Do rozgrywki między wszystkimi siłami rozkładającymi twór Mieszka, siłami odśrodkowymi a wolą kontynuatora jego myśli państwowej dochodzi już w momencie zgonu starego władcy. Jest to jeden z punktów kulminacyjnych cyklu Gołubiewa.

Dawna swoboda wynikająca z pierwotności, wegetatywności życia, ustępuje zacieśnieniu się zależności międzyludzkich, powoduje nieustanny ruch w masie społecznej oraz otwiera szlaki, ścieżki i przełazy awansu społecznego dla tych, co umieją wziąć w swe ręce nowe funkcje, dla przydatnych — kimkolwiek byliby przedtem.

Brzmi to wszystko prawie banalnie. Wystarczyłoby jednak skierować całą pomysłowość autorską na przedstawienie i opisanie tych zjawisk jak zresztą i późniejszych wysiłków Bolesława i jego otoczenia, by zorganizowane państwo włączyć w krąg kultury chrześcijańskiej i tą drogą wyemancypować się z pod wpływów niemieckich — żeby dać rzetelną i wnoszącą coś do wiedzy historycznej przeciętnego czytelnika — powieść historyczną.

Gołubiewowi wydało się to jednak zbyt łatwe, proste i naturalne, a może raczej nie dawało pola do rozwinięcia swoistej historiozofii. Pokusił się o stworzenie dodatkowej motywacji dla zjawisk i postępków ludzkich w powieści. Tu zaczyna się mitologia, metafizyka i historiozofia.

Za cienką powłoką realnej, sprawdzalnej motywacji faktów i zjawisk kłębią się opary swoistej filozofii kultury. Pocznijmy od elementów tzn. od tego co autor uważa za istotne siły napędowe dziejów. Autorowi wydaje się nawet, że w tym tkwi sekret jego humanistycznej postawy, że z równą bezstronnością traktuje biologiczną prężność dębu, chuć Bugają, przeżycia mistyczne Wojciecha, „odegrywania się" starego Wojbora, krzywdę socjalną Bzioba, prywatną zachłanność Zefrida i tępotę Ungera.

W istocie jednak układa się to odrobinę inaczej.

W istocie w prywatnej mitologii autora odzywa się stara chrześcijańska antynomia ciała i ducha. Ją to właśnie wykłada Gołubiew czytelnikowi w fabularnych wariantach. To jest zarazem jego historiozofia. Świadczy o tym jego przedstawienie stanu kultury w Polsce w fazie poprzedzającej ugruntowanie się chrześcijaństwa. Wbrew wynikom badań naukowych — na co zwrócił uwagę jeden z poprzednich recenzentów — człowiek ówczesny w/g Gołubiewa, wychodził ledwo z pierwotności, a kulturę reprezentowało tylko chrześcijaństwo. Nie złudzi nas tu jurność i żywotność tego człowieka z przedstawienia Gołubiewa, mieści się ona bowiem doskonale w ramach wspomnianej już podstawowej antynomii. Jeśli kultura ściera się z biologią, by walcząc ułożyć się i współżyć w czym jakoby źródło konfliktu i trudności, moment zmagania się i... postępu — to wiadomo jaki to postęp, w jakiej proporcji ułożą się te dwie siły i która z nich stanie się nadrzędną. W tym przedstawieniu historycznym kultura chrześcijańska jest jedyną pretendentką do miana kultury.

Potwierdzeniem tego jest akcent szczególny położony na momenty przeżyć religijnych tych, którzy kulturę chrześcijańską reprezentują. To nie tylko sprawiedliwość artystyczna i wierność wobec źródła kazała autorowi szukać wewnętrznego tłumaczenia dla ich czynów. Są oni nosicielami i propagatorami pewnych treści społecznych, na których rozumie się dobrze Bolesław kiedy misji św. Wojciecha nadaje wagę państwową.Nie jest także rzeczą przypadku, że autor wprowadza specyficzne rozróżnienie w kulturze Zachodu, gdy reprezentację prawdziwego jej nurtu powierza Wojciechowi i Ottonowi III, idealistom. Dzięki tym siłom ugruntowany zostaje byt państwa Bolesława, jakby w myśl cytowanej na naszych łamach tezy Jerzego Brauna, że: „Przyszłość i byt samodzielny Polski da się pomyśleć tylko w łączności z Kościołem i w nieustannym pełnieniu apostolstwa chrześcijańskiego". To już jest historiozofia na dzisiaj.

Dyskryminacja kultury przedchrześcijańskiej Polski ułatwiła autorowi zadanie ideowe, ale umieściła je w specyficznej próżni mimo obfitości realiów. Czymże bowiem wytłumaczyć nagły i gwałtowny wybuch reakcji pogańskiej r. 1037 oraz niepowodzenia jej zarazem w pewnych dzielnicach? Dlaczego zatarła się w powieści nadrzędna wobec ustroju rodowego organizacja plemienna dająca początek potężnym ruchom odśrodkowym?

Inną sprawą z zakresu mitologii autora „Bolesława Chrobrego" jest przesadny personalizm i wynikające stąd psychologizowanie. Ostatnimi tedy instancjami rozstrzygającymi o postępowaniu bohaterów są ich przeżycia i to wcale nie mieszczące się u tych prymitywów w kategoriach zdziwienia, przerażenia, odpychania i przyciągania, jakie mogły w nich powstawać w zetknięciu z „nowym".

Scharakteryzowanym wyżej „treściom ideowym" utworu Gołubiewa odpowiada jego faktura, przypominająca miejscami powieść kolonialną, miejscami „somatyzm" i „demonizm naturalistyczny" Kadena lub płytki reportaż.

---

*) Anton Gołubiew — „Bolesław Chrobry". Powieść t. I. „Puszcza" t. II. „Szło nowe". Warszawa, 1947 r. „Czytelnik".

Leonard Sobierajski

Drobny realizm



Władysław Dunarowski

Wł. Dunarowski: „Leżąc krzyżem". Wydawnictwo E. Kuthana, Warszawa 1947.

Sumienny czytelnik powojennej prozy beletrystycznej musi stwierdzić, że niemały jej procent to powieści i zbiory nowel o tematyce wiejskiej.

Niektóre z nich układają mu się w wyraźne grupy. I tak nazwiska Kowalskiego, Gałaja, Pogana obwiedzie on jedną linią, nie licząc się nawet z tym, że pierwsze wydanie powieści „W Grzmiącej" przypada na rok 1936.

„W Grzmiącej" Władysława Kowalskiego, „Ugory" Pogana i „Mystkowice wioska mała" Juliana Gałaja, to z pewnego punktu widzenia jednorodne fakty literackie, wiąże je podobna postawa pisarska i zbliżone pojmowanie funkcji dzieła. Wszystkie wymienione utwory są swojego rodzaju rozrachunkiem dokonanym od strony wsi z rzeczywistością lat międzywojennych, cechuje je ostra tendencja społeczna, postaci w nich przedstawione odkrywają losy ludzkie w ich socjologicznym zdeterminowaniu.

Autorzy kreśląc wizję wsi starają się przede wszystkim o pokazanie środowiska wiejskiego w jego uzależnieniu od ogólnych społeczno-gospodarczych procesów, dzieje wsi są przez nich w te procesy wpisane.

Wysiłek konstrukcyjny prozy Kowalskiego, Gałaja czy Pogana idzie po linii takiej selekcji materiału obserwacyjnego, by przy właściwym jego zestawieniu móc przedstawić w wymiarze gromady wiejskiej sprzeczności społeczne naniesione tu w drobnym rzucie z planu wielkich sprzeczności, tkwiących w ustroju Polski lat międzywojennych.

W kontekście tego zasadniczego nurtu powieści o wsi należy dzisiaj rozpatrywać i inne, nowoukazujące się pozycje, malujące środowisko chłopskie.

Pod koniec ubiegłego roku ukazała się powieść Władysława Dunarowskiego „Leżąc krzyżem". Autora znamy już ze zbioru nowel: „Ludzie spod miedzy", wydanego w 1939 roku; wznowienie tego tomu w 1947 roku „Wieś" odnotowała recenzją Piotra Ziarnika w numerze 11 (90). Ziarnik tak charakteryzuje nowele Dunarowskiego: „W całości obraz jest drobiazgowo dokładny, do złudzenia przypominający rzeczywistość i w wydźwięku ostatecznym głęboko tragiczny, choć bohaterowie nowel na ogół tego tragizmu nie uświadamiają sobie. Zabiegani za sprawami dnia, za drobnymi kłopotami i radościami mizernymi bardzo, wpleceni w beznadziejne koło życia warunkami ekonomicznymi, które tak dobrze znamy sprzed wojny, nie widzą przyczyn swej nędzy, poniżenia i niesprawiedliwości losu. Przeżywają życie bez planu i perspektywy — za swą krzywdę nie wiedzą kogo winić, często nawet nie widzą potrzeby winienia. Poczucie społecznej niesprawiedliwości właściwe jest dopiero jednostkom uczącym się, inteligentom chłopskim" *).

Czy Dunarowski poszedł w swojej powieści dalej, czy nakreślił w swoim obrazie wsi jakieś głębsze perspektywy, czy raczej zadowolił się kreśleniem „pierwszego planu", odrzutowaniem rzeczywistości tak jak ona się potocznemu doznaniu narzuca?

Autor przedstawia nam wioskę podgórską, zaludniając ją nadal „ludźmi spod miedzy"; czas zachodzących w powieści zdarzeń to kilka miesięcy tuż przed wybuchem wojny oraz pierwsze lata okupacji. Zdawałoby się, że jest to dobry moment do zrobienia jakby remanentu, do zebrania w garść tych wszystkich składników, które w sumie określały sytuację wsi sprzed września 1939 roku. Jeśli wolno powieściowej wsi wyznaczyć miejsce na mapie, to musi ona gdzieś leżeć w południowych okolicach województwa rzeszowskiego a przecież wiemy, że teren województwa rzeszowskiego był jednym z najbardziej w Polsce politycznie rozbudzonych; wieś w której żyje rodzina Pyrów, Kępów, Kęsików, nie jest znów tak bardzo oddalona od Albigowej, Handzlówki czy Husowa, musiały chyba jakoś do niej dochodzić wpływy Gaci czy słuchy o Markowej. A tymczasem...

Autor bardzo zacieśnia swoje pole widzenia, koncentruje on uwagę na tym, co dzieje się w chałupie wiejskiej od strony jej codzienności, ogranicza się do pokazania bytu chłopskiego w strukturze rodziny i więzi sąsiedzkiej. Mimo ciągłego odwoływania się do kalendarza czas Dunarowskiemu uciekł, ponieważ nie wprowadził on w przebiegi myślowe swoich postaci tych treści, które by były treściami klasy chłopskiej określonego momentu historycznego. W powieści „Leżąc krzyżem" życie rodziny chłopskiej wypełnione jest takimi samymi treściami w 1939 roku jakie można by jej było przypisać i pięćdziesiąt lat temu wstecz; dzieje się tak, gdy spoglądamy na nie od strony jego codziennych gestów: obrządków kuchenych, rytualnych zabiegów gospodarskich i drobnych konfliktów wewnętrzno-rodzinnych i sąsiedzkich.

A na takim materiale autor zbudował swą powieść. Uwikłał się przy tym w autentyzm — nęci go „śpiew maleńkich rzeczy", pozostających w polu jego pisarskiego widzenia. Z tych względów stawiane przez autora problemy zacierają się w elementach opisowych, które z funkcji elementów tła, na którym rysowałby się problem, wyrastają w autonomiczne partie. Autor posługuje się tu techniką opisu, dzięki której otrzymuje „obraz do złudzenia przypominający rzeczywistość". Nie jest to jednak rzeczywistość klasy chłopskiej z jej polityczną i społeczną lokatą w ustroju przedwrześniowym. Elementy opisu zgodne z „autentycznym" wzorcowym przedmiotem nie współgrają z postawionym problemem. Tak ma się sprawa z jednym z głównych, jak nam się zdaje, wątków powieści, mianowicie z wątkiem starych, niedołężnych ludzi, którzy wypadają poza burtę rodziny chłopskiej z chwilą, gdy przestają być czynni w pracy, podtrzymującej egzystencję tej rodziny.

Ostatnie chwile Witka Racicy — starego służącego i wyrzucenie go z chałupy Pyrów mogłoby nabrać właściwego akcentu społecznego, gdyby było podmalowane tak dobranym elementem opisowym, który by przekonywał czytelnika, że było to ciężką koniecznością, że sytuacja ekonomiczna dziesięcio-osobowej rodziny chłopskiej na sześciu morgach w okresie przednówka była tak trudna, że zmusiła tę rodzinę do czynu okrutnego — usunięcia z domu niedołężnego starca, dla którego nie ma w przepełnionej izbie ni miejsca ni chleba.

Zwróciliśmy uwagę na ten moment, gdyż dość dobrze ilustruje on sposób patrzenia na sprawy wsi autora. Nie wykreśla on ich społecznego aspektu, nie sugeruje właściwie propropozycji zmian, ogranicza się do konstatowania pewnych bolączek wsi w ramach rodziny chłopskiej i kręgu sąsiedzkiego. Dunarowski w tych tylko strukturach umieszcza swoje postacie; potrafi on świetnie odtworzyć postać stetryczałego dziadka Michała na tle licznej rodziny Pyrów, czy podpatrzyć zachowanie się i reakcje dzieci w rodzinie chłopskiej czy pokazać starego człowieka — babkę Jędrzejową, która resztkami sił chwyta się życia, by nie stracić pozycji czynnego jeszcze członka grupy pracujących a tym samym i miejsca w chałupie. — Nie ma tu natomiast u niego jeszcze, jak w ostatnio publikowanych na łamach „Wsi" utworach tego autora, obrazu gromady wiejskiej w tym zróżniczkowaniu, jakie daje nam Gałaj czy Pogan, wieś u niego nie wciągnięta jest w procesy społeczne, bohaterzy żyją drobnymi jednostkowymi konfliktami. Dunarowski w kilku wtrętach komentatorskich wyraża ubolewanie, że wieś żyje w cywilizacyjnym zapóźnieniu — jego wizja wsi jest w części konstruowana na pokazanie tego zapóźnienia — absolutnie jednak nie odkrywa on tych uzależnień ustrojowych, które wsi nie pozwalają wznieść się na wyższy stopień cywilizacyjny.

Te cele osiąga dopiero najnowsza proza Dunarowskiego, wróżąca intelektualny i artystyczny rozwój tego pisarza; wynika on z postępującego u Dunarowskiego przełamywania teorii kultury idealistycznej. Nabył on ją w latach przedwojennych w kręgu „Młodej Myśli Ludowej", gdzie kulturę chłopską i narodową rozumiano statycznie w kategoriach pozahistorycznych.

---

*) Piotr Ziarnik: „Nowele o ludziach autentycznej wsi" „Wieś" Nr 11 (90).

W OSTATNIM 4 (133) NUMERZE „WSI" z dnia 25 stycznia 1948 r.

lowań lód... Pod nogami jeszcze błoto, ale na deskach maleńkie sople lodu. Wróciłem do „dziadzi" z soplem lodu. Uśmiechnął się i dotąd go trzymał, aż mu stajał na dłoni. Na odchodnym silniej niż zwykle ścisnął mi rękę

— Dziękuję ci kochany kuzynie.

— Za co?

— Za tę bryłkę lodu.

Upłynęło znów parę dni... Mróz rósł z dnia na dzień... Codziennie Francuz Dombre zatrzymywał się przed słupem z termometrem i kręcił głową... Znikło błoto, kałuże, oschły bruzdy pośród zagonów, woda na rzece opadła gwałtownie, a przy wykopach „dziadzi" tylko szybka białego lodu wiszącego w powietrzu świadczyła, że kiedyś była tam woda... Jednego dnia mróz wzrósł w ciągu dnia nagle o kilkanaście stopni... Ze czterech stopni rano, o dziewiątej, wieczorem zrobiło się szesnaście..

W baraku „dziadzi" wrzała praca — nad otapetowaniem ścian i nad rozpalaniem pieca do temperatury czerwonego żaru... Tego wieczora „dziadzia" wysłał majstra, stróża nocnego i Władka, wszystkich naraz do wsi, w której jego robotnicy czekali na wezwanie. Było to na kilkanaście zaledwie dni przed wigilią Bożego Narodzenia... Rozpuszczaliśmy robotników na święta, wyznaczając każdemu indywidualnie termin powrotu do pracy. Inżynier wyjechał do Warszawy, student gotował się również do wyjazdu. Na naszym placu budowy panowała przeraźliwa pustka, jedynie nocą, stróże nocni palili na hali maszyn ognisko, którego płomienie widoczne były przez okna pierwszego piętra.

Rankiem w dzień wigilijny, kiedy już byłem tylko sam w baraku, obudził mnie głos stróża, który wszedłszy zameldować swoje odejście, tłukł się, jak Marek po piekle... Ubrałem się szybko i wyskoczyłem do kantoru...

— No co? — krzyknąłem

— Ano odchodzą — meldował stróż.

— No, a dzienny już jest?

— Jest

— Czego tu nie przyszedł?

— Przyszedł, ale wszyscy poszli do „dziadzia". Co tam ludzi, aż ze wsi poprzychodzili. I jo tam zaraz idę. — Trzasnął kluczami, potem z hukiem zamknął drzwi i poszedł... Do „dziadzi" naturalnie, na ulewowisko... W tej chwili zadrżały szyby w oknach, raz, drugi, trzeci... Grzmot wybuchów rozlegał się po lesie... Nie zwlócząc dłużej szybko poszedłem w kierunku kanału „dziadzi". Minąłem sterty skamieniałych od mrozu brył iłu, minąłem pierwszy wykop i na następnym zatrzymałem się, aby popatrzeć w dół... Wśród lasu stempli oblodzonych na biało uwijali się ludzie... Ani śladu wody... Na bagniskach przed słotami rozpoczętych pracowali ludzie, oskardami i kilofami, wywozili takami piach, cudem mrozu zmieniony na skałę... W oddali poza łączką znowu zagrzmiały salwy... Tylko dym siny, szybko idący w górę wskazywał ich miejsce... Dziadzia stał na stercie iłu i gliny i patrzył w stronę Sanu... Pled na nim, jak zwykle, kalosze jak zawsze... Podszedłem bliżej... Zbiegł szybko ze sterty, zobaczywszy mnie z daleka, wyciągnął rękę... — Jutro na pierwszych figurach będziemy mieć dno. A te wiwaty? — zagadnąłem krótko. — Rozsadzamy zwaliska na brzegu rzeki... Weszliśmy do baraku... Władek palił w piecu, po przyległej kuchence krzątała się dziewczyna... — Co to? Poszedłem zobaczyć. Panienka, ta z kantyny gotowała coś w niezliczonych garnkach i rondlach, sekretarz przy bocznym biurku napychał listowe koperty. „Dziadzia" rozkręcał się z pleda i zdejmował kalosze... Stanąłem przy ścianie nad jego biurkiem... Stanął za mną i przez moje ramię wyciągnął rękę..

— Proszę cię kuzynie — mówił zobacz te żółte wykopy... To błękitne pompowanie wody możnaby skreślić... A za dziesięć dni będziemy mieć dno na wszystkich figurach i zaczniemy betonowanie...

— A u was?

— My już świętujemy — odpowiedziałem...

— A ty?

— Zaraz pojadę do domu... „Dziadzia" cofnął się o krok, potem rozłożył ręce i tak zagrodził drogę do drzwi... Potem znowu zrobił krok naprzód i usiadł na krześle.

— Widzisz, ja tu dziś przygotowałem wigilię... Wieczorem przyjedzie mój syn, a bardzo życzyłbym sobie mieć cię cały dzisiejszy wieczór u siebie...

— Ba! — Ale ja jużbym szóstą wigilię był poza domem. „Dziadzia" spuścił głowę na piersi, na których załamała się szpiczasta bródka... Wkrótce podniósł się i jakoś wesoło powiedział: — Pozostanie ci siódma i wiele, bardzo wiele następnych... Władek w tej chwili nakręcił radio... Panienka wniosła tacę z karafką i kieliszkami... Wszedł główny majster „dziadzi". Potem były kieliszki czerwonej, zielonej, kryształowej i inne. Potem robotnicy przynieśli choinkę, przyjechał syn „dziadzi" wesoły i miły student filozofii... — Filozofii — przeciągał staruszek prezentując go nam, którym wino i rodzaje alkoholu oraz ciepło kręciło w głowach... Wieczorem „dziadzia" uzasadniał swe podejrzenie mnie o kuzynostwo, identycznością mojego nazwiska z nazwiskiem jego żony..,

— Coś mi się przypomina, ale nigdy nie lubiłem zagłębiać się w zawiłość rodowodów. — Z głośnika płynęła melodia kolędy, na ścianie wisiał diagram, ze śnieżną niebieską kratką oznaczającą nie istniejącą sprawę wody... Z prawej strony syn „dziadzi" słuchał opowiadania majstra, a on sam, „dziadzia" siedząc na przeciw mnie podnosił do góry, nie wiadomo który z rzędu czerwony kieliszek... — Na pohybel wodzie! — krzyknąłem. — Na pohybel — powtórzyli syn „dziadzi", majster Stempka i Władek nie wiedząc, o co chodzi...

Stanisław Stefan Gębala

Tadeusz Orlewicz

DROGI NAPRAWY*)

Obraz ogólny światowej polityki aprowizacyjnej ilustruje na stosunkowo ważnym odcinku poważne niedomagania i usterki polityki gospodarczej świata jako całości. Nasuwają się od razu rozliczne analogie pomiędzy schorzeniami ustrojowo-ekonomicznymi, jakie toczą organizmy wewnętrzne wielu państw, a dysproporcjami, towarzyszącymi w rozdziale dóbr konsumcyjnych, przede wszystkim zaś żywności na świecie.

W poszczególnych państwach toczy się walka o sprawiedliwy podział dochodu społecznego z mniej lub bardziej udanym skutkiem. W krajach kapitalistycznych jest to walka mas robotniczych, prowadzona pod hasłem negacji istniejącego ustroju, jako ustroju wyzysku człowieka przez człowieka. W krajach demokracji ludowej walka ta ma charakter pozytywny, prowadzi się ją bowiem o podwyższenie wspólnego dochodu narodowego, który pomnażany przez czynniki produkcji i pracy, pomnaża udział pracy nie tylko w dochodzie społecznym, ale i udział w decyzjach na bieg spraw państwowych.

Mimo przeciwieństw : dwie grupy państw, kapitalistycznych i grupa państw o ustroju socjalistycznym lub demokratycznym mogą z powodzeniem w skali światowej współżyć ze sobą. Jeżeli tak, to od razu nasuwa się pytanie, skąd rodzą się zadrażnienia, skąd wroga postawa wzajemna, gdzie jest punkt węzłowy zagadnienia? Dla państw demokracji ludowej idea pokoju światowego jest celem ich polityki wewnętrznej i zagranicznej. Sprawiedliwość społeczna bowiem ma postać ładu i pokoju wewnątrz krajów i na całym świecie. To wszystko, co wywołuje fermenty i wrzenia, winno być z punktu widzenia demokracji ludowej usunięte. Drogi, jakimi dążą te kraje do osiągnięcia ładu i pokoju w najszerszej skali — to kierunek walki o wolność od głodu, nędzy, strachu i od wojny, posługując się określeniami rooseveltowskimi. Rzecz więc opiera się tutaj o przebudowę bazy ekonomicznej. Przebudowa odbywa się drogą wprowadzenia w życie podstawowych reform gospodarczo - społecznych. Te reformy z kolei likwidują kapitalizm w gospodarowaniu, unicestwiają wpływy finansjery międzynarodowej i utrącają elementy pasożytnicze, żywiące się na koszt ludzi pracy, robotników i chłopów.

W konsekwencji drogi te prowadzą jednocześnie do utwierdzenia suwerenności narodowej i do podniesienia stopy życiowej przeciętnego obywatela. W krajach idących tą drogą, widzimy powszechne stosowanie nowej techniki gospodarowania, a więc gospodarki planowej. Poza znanymi już cechami planowego gospodarowania warto tu podkreślić, że w tym systemie tkwi naszym zdaniem szczegół zasadniczy. Prawda, że dzięki gospodarce planowej możemy w sposób jak najbardziej celowy i jak najbardziej ekonomiczny wykorzystać usługi maszyny i pracę człowieka. Prawda, że zdobycze efektywne tego typu gospodarowania są poważne. Ale prawdą również jest, że system gospodarki planowej jest systemem gospodarowania jawnego, w którym przed całym narodem zdają właściwe czynniki rachunek i w którym cały naród uczestniczy tak jak każdy członek rodziny uczestniczy w wykonywaniu budżetu miesięcznego swojej rodziny.

Przebieg wydarzeń dziejowych każe twierdzić, że systemy demokracji ludowej i ludowego gospodarowania mają obecnie wyraźną i naturalną tendencję do rozszerzania swego zakresu działania na coraz nowe kraje. Są to bowiem systemy, które zrodziły się w lewicy społecznej i do ich realizacji powszechnie na całym świecie dążą masy robotnicze wsi i miast. Coraz powszechniejsze wprowadzanie ich gwarantuje utwierdzenie się pokoju światowego z jednej strony, z drugiej zaś — likwidację kapitalizmu. I tu tworzy się punkt starcia.

Kapitalizm współczesny charakteryzuje dużą agresywność, która się ostatnio przejawia w zaostrzonych formach ekspansji gospodarczo - politycznej. Przyczyny tego są jasne. Polityka wysokich cen i pustych półek gwarantuje wysokie zyski dla producenta. Bardzo poważne nagromadzenie dóbr produkcyjnych i potężna rozbudowa możliwości wytwórczych aparatu gospodarczego krajów kapitalistycznych z USA na czele każe szukać mu za wszelką cenę dogodnych rynków zbytu i uległych klientów. Każde posunięcie na szachownicy spraw gospodarczych świata ma z tej strony ukryty sens polityczny.

Ponieważ finansjera międzynarodowa potrafiła opanować bez reszty aparat państwowy krajów o strukturze kapitalistycznej, przeto metody nabierają cech wyraźnego imperializmu. W tej praktyce imperialistycznej przoduje USA i dlatego dolar, tradycyjna waluta dewizowa handlu światowego, otrzymuje przede wszystkim funkcję polityczną. Oczywiście dolar w tych warunkach będzie się czuł najlepiej w tych krajach, w których będzie miał nie tylko kontrolę ekonomiczną, ale i kontrolę polityczną. Po ostatnich posunięciach departamentu Stanu USA, po planie Marshalla i misji Dulles'a we Francji, nie ma nikt co do tego złudzeń. Karty zostały odkryte albo przez nieudolność dyplomacji USA, albo przez swoistą taktykę. Ta kontrola ekonomiczna i polityczna — daje finansjerze międzynarodowej możność opanowania rynków świata, możność kierowania produkcją państw uległych w takim kierunku, jaki jest dogodny dla interesów nielicznych, ale jeszcze potężnych grup oligarchii międzynarodowej. Chodzi bowiem im o to, aby samowystarczalność poszczególnych krajów, a zatem i suwerenność państwowa zostały ograniczone do minimum, aby system polityki kolonialnej zapewnił producentowi - kapitaliście rynki zbytu. Sytuacja jest wyraźna, a wzmagająca się ostrość rozgrywki dowodzi jedynie akcji obronnej ze strony kapitalizmu, akcji, mającej na celu obronę własnych, egoistycznych interesów, które są zdecydowanie zagrożone w skali światowej przez ideę sprawiedliwego podziału dochodu narodowego, przez głębokie reformy gospodarczo-społeczne z nacjonalizacją przemysłu i reformą rolną na czele. Ta obrona ze strony kapitalizmu prowadzona jest wszelkimi środkami i za wszelką cenę.

Jeżeli więc będziemy próbowali w skrócie telegraficznym określić interesujące nas w tej chwili zjawisko, to moglibyśmy stwierdzić, że poza zasłonami dymnymi, rozciąganymi przez państwa imperialistyczno- kapitalistyczne, kryje się jedna prawda, a prawdą tą jest osobisty interes i zysk producentów prywatnych członków wielkich karteli i trustów. To nie są sprawy z zakresu idei kultury czy różnic cywilizacji, to są sprawy mniejszej lub większej grubości portfeli akcyjnych.

Problem trzeciej wojny w takim układzie stosunków leży w interesie kapitalizmu. Jeżeli więc wojna leży w interesie kapitalistów międzynarodowych, to jednocześnie przeciwko wojnie występują zdecydowanie kraje, których potencjał nie jest do pogardzenia, i narody, które nie chcą być mięsem armatnim i ginąć dla wrogich sobie celów. Nadto metody dyplomacji światowej pod naciskiem ZSRR ulegają stopniowo zmianie, dyplomacja wychodzi na światło dzienne i pod kontrolę opinii światowej. Są metody i ludzie, którzy światła nie lubią. To jest inna rzecz, ale te metody i ci ludzie tracą wiele ze swej mocy i potęgi, po ujawnieniu.

Walka o pokój światowy trwa. O pokój trzeba walczyć i trzeba umieć walczyć. Jeden z zasadniczych odcinków tej walki — to właśnie polityka aprowizacyjna. Mamy nadzieję, że czytelnicy rozumieją intencje, jakie kierowały nami przy dłuższym omawianiu spraw gospodarki światowej.

Na odcinku polityki aprowizacyjnej imperialistyczne metody państw kapitalistycznych święcą ponure i widoczne żniwo. Dziś bowiem produkcja rolno - hodowlana tych państw, a zwłaszcza eksport jest instrumentem polityki ekspansji, stosowanej przez finansjerę międzynarodową.

Jeżeli więc przy omawianiu dróg napraw polityki aprowizacyjnej świata mówić będziemy o wysiłkach międzynarodowych organizacji, działających przy ONZ, to podkreślamy, że wyżej wymieniona ocena sytuacji ma kapitalny wpływ na realizację najpiękniejszych i najszczytniejszych założeń na tym odcinku. W takim stanie rzeczy najbardziej idealne założenia mogą być wypaczone i tendencyjnie podporządkowane wpływom mocarstwa — hegemonia, a ściślej wpływom rządu USA, bazującego swą politykę na dyspozycjach z kół finansjery międzynarodowej. Wszystko jednak wskazuje na to, że sprawy nie stoją beznadziejnie, że szanse naprawy istnieją. Naprawa wymaga zasadniczej wagi posunięć, a ich efekty mogą być oceniane jedynie w skali długofalowej z uwagi na skomplikowany model zagadnienia i poważny splot trudności realizacyjnych.

*) Patrz: T. Orlewicz — „Światowa polityka aprowizacyjna" („Wieś", Nr 47 i 49—50 1947 r.) oraz — „Głód na kuli ziemskiej" („Wieś" Nr 4, 1948).

Przegląd prasy ekonomicznej

Zgodnie z założeniami pierwszej fazy Planu Trzyletniego, przypadającej na rok miniony inwestowano w przemysł dóbr produkcyjnych osiągając prawie pełne uruchomienie produkcji przemysłowej w przewidzianych rozmiarach. Z innych podstawowych zagadnień gospodarczo-społecznej polityki ub. roku wymienić należy likwidację „wąskich gardeł" w transportach, zakończenie akcji dostaw U. N. R. R. A., systematyczne osiedlanie Ziem Odzyskanych.

„Tymczasem nieprzewidziane klęski żywiołowe — czytamy w numerze 1-szym „Życia Gospodarczego" z 1948 r., „Rok 1947" (artykuł redakcyjny) — postawiły szereg dodatkowych zadań, wpływając hamująco na szereg poczynań. Ostra zima i powódź wiosenna stały się czynnikiem, który poważnie zaciążył na pierwszym szczególnie półroczu ubiegłego okresu. Zamarznięte porty zahamowały import. Na skutek tego uległy wstrzymaniu końcowe dostawy UNRRA, uległ zahamowaniu dowóz surowców, co odbiło się szczególnie niepomyślnie na przemyśle włókienniczym, ponadto zahamował się eksport drogą morską. Opóźnił się również sezon budowlany. Wymarzły też w wielu miejscach oziminy, zmuszając do ponownych zasiewów. Wymarzły gdzie niegdzie kartofle. Wreszcie powódź zniszczyła szereg mostów i zalała liczne wsie, zmuszając do bezpośredniej akcji ratunkowej i do akcji pomocy odbudowy, a nawet przesiedleń na Ziemie Odzyskane...

Mimo tych trudności bilans produkcji przemysłowej za rok 1947 przedstawia się naogół pomyślnie i daje uzasadnione powody do optymizmu. Przemysł węglowy wykonał plan roczny w 103%, jeżeli chodzi o wydobycie węgla, a załadował go w 100% planu. Przemysł energetyczny osiągnął w ciągu ubiegłego roku 140% produkcji przedwojennej, mając za sobą poważne osiągnięcia w dziedzinie elektryfikacji wsi i ośrodków miejskich, przede wszystkim zaś w dziedzinie budowy linii przesyłowych energii elektrycznej, jak połączenie Śląska przez Rożnów z Warszawą, linia Śląsk—Łódź, linia na Dolnym Śląsku i Ziemi Lubuskiej czy śląski pierścień wysokiego napięcia. Podstawowe grupy przemysłu hutniczego, a więc koks, surówka, stal surowa i wyroby walcowane przekroczyły planowaną produkcję roczną.

Podobnie przemysł metalowy. Przemysł paliw płynnych nie pracował pełną parą, gdyż import obejmował przede wszystkim przetwory gotowe, a nie surowiec. Pomyślne próby wierceń w Kieleckim (ropa), czy na Kujawach (sole potasowe) ożywią zapewne przetwórstwo krajowe. Przemysły dóbr konsumcyjnych jak np. włókienniczy, skórzany czy papierniczy, pozostały w tyle poza produkcją dóbr produkcyjnych. Dokonały one — czytamy w 1 numerze „Życia Gospodarczego" z 1948 r. „w okresie r. 1947 reorganizacji, która np. w przemyśle włókienniczym doprowadziła do miejscowych wahań w zakresie produkcji, zanim dały się odczuć, pozytywne wyniki zcalania mniejszych fabryk i usprawnień administracyjnych". Ostra zima wstrzymała dostawy surowca dla przemysłu włókienniczego, przemysły — papierniczy i skórzany odczuwały również brak surowca. Przemysł spożywczy spotkał się także z rozmaitymi trudnościami. A więc surowcowymi (olejarstwo i browarnictwo) z powodu niezorganizowanej i niedostatecznej akcji zbierania owoców, niemożności przeróbki wskutek braku chłodni, czy też niedomagań w transporcie. Przeciętny spożywca utrzymywał się jeszcze stale w podkonsumcji, nieraz i na skutek wadliwego rozprowadzania zapasów. Na zagadnienie zapasów zwrócił uwagę dr Mirosław Orłowski w numerze 11-ym „Wiadomości Narodowego Banku Polskiego" („Dynamika zapasów") podkreślając, że zjawisko nagromadzenia zapasów nie powinno zaistnieć w systemie gospodarki planowej, szczególnie, gdy utrzymuje się stan ogólnej podkonsumcji.

Stosunkowo niepomyślną sytuację na odcinku spożycia spowodował w dalszym ciągu jeszcze niski stan produkcji rolnej. „Produkcja rolna — czytamy w 23 numerze „Gospodarki Planowej" (W. Sz. „Pierwsza ocena") to jest główna dziedzina, która nie dopisała. Choć nie ma jeszcze dokładniejszych liczb, można już stwierdzić, że zbiory (oczywiście nie licząc okopowych, które dały wyniki bardzo bliskie planu) są dość dalekie od planowanych i nie są o wiele większe, niż w ub. (1946) roku — bo choć powierzchnia większa, wydajność plonu niższa. Ale jednocześnie można stwierdzić, że choć zaopatrzenie w nawozy na jesieni było mniejsze od planowanego, choć tak samo niedostateczna była siła pociągowa, choć były lokalne trudności z materiałem siewnym — to znakomita i długa jesień, pozwoliła na daleko lepsze i daleko szersze przygotowanie ziemi na rok przyszły (1948). Tak więc w spuściźnie po r. 1947, mamy na rok 1948 deficyt zbożowy oraz nadwyżkę obróbki i zasiewów".

Fakt, że produkcja zbożowa i produkcja przemysłowa dóbr konsumcyjnych w roku ubiegłym nie dopisywały spowodował obniżkę towarowej masy konsumcyjnej. Z punktu widzenia polityki państwowej należało zmniejszyć odpowiednio siłę nabywczą konsumenta. „Ta zniżka — czytamy we wspomnianym już artykule z nr. 23, „Gospodarki Planowej" — została częściowo osiągnięta w sposób choć bolesny, ale świadomy i zorganizowany — mianowicie przez zaniechanie intensywniejszego i szerszego podnoszenia poziomu płac, a częściowo w sposób wysoce niepożądany i destrukcyjny — przez chaotyczną zwyżkę cen".

Z aktualnych problemów polityki gospodarczej warto podkreślić, zagadnienie, postawione przez d-ra. T. Bissagę w artykule pt. „Kraj zapomniany" z 1 numeru „Życia Gospodarczego". Autor zwraca uwagę na fakt, że potencjał gospodarczy Polski Zachodniej wzmógł się nieproporcjonalnie w stosunku do południowych ziem Rzeczypospolitej. „Na południu Polski czytamy — istnieje brak ogniwa, które by stanowiło żywą więź w procesie niezbędnej unifikacji terytorialnej, gospodarczej i komunikacyjnej, łączącej poszczególne obszary Polski w jeden organizm". Dr Bissaga zwraca uwagę na konieczność dalszej rozbudowy C. O. P-u, uważając, że „większość przesłanek, którymi się kierowano... w rozbudowie C. O. P-u jest nadal aktualną, a jeśli chodzi o ciągłość zaplecza na całym obszarze Polski Południowej nabiera większego znaczenia aniżeli w okresie przedwojennym".

Z. Szrajer

SPROSTOWANIE

W poprzedniej części pracy T. Orlewicza („Głód na kuli ziemskiej", „Wieś" nr 4 (133) wynikła pomyłka za którą Redakcja odpowiedzialności nie ponosi. Mianowicie odbito odwrotnie wykres przedstawiający wartość kaloryczną odżywiania na osobę w państwach europejskich. Prostując powyższe — przepraszamy jednocześnie Autora i Czytelników za wynikły błąd.

REDAKCJA

FAKTY I ZDANIA

Strajki i drobne interesy

W bogatym i szczęśliwym kraju północnych Amerykan dochody prywatne osiągnęły w lipcu ub. roku nowy rekord — „dochodząc w sumie w stosunku rocznym do 197 miliardów dolarów" — podaje Biuro Statystyki Departamentu Pracy U.S.A.

W ubiegłym roku — czytamy w Biuletynie Wiadomości Tygodniowych wydawanym przez ambasadę U. S. A. w Polsce, — wszystkie przedsiębiorstwa w Stanach Zjednoczonych zarówno handlowe jak i zawodowe z wyjątkiem spółek akcyjnych, podały ponad 21 miliardów dolarów dochodu, co według „Dziennika Handlowego" wynosi trzykrotnie więcej, niż w r. 1939. Ilość działających przedsiębiorstw handlowych wzrosła w ubiegłym roku o 420.000, osiągając rekordową cyfrę ogólną 3,644.000.

Ot i sielanka w kapitaliźmie! Dochody prywatne rosną, rośnie i liczba przedsiębiorstw. Ten, jakże miły obraz, psuje stanowczo inna statystyka.

Biuro Statystyki Departamentu Pracy w Waszyngtonie podało równocześnie, że w r. 1947, kiedy to tak wspaniale powiększyły się dochody prywatne, a liczba przedsiębiorstw rekordowo wzrosła — 2.200 tysięcy robotników przemysłu amerykańskiego strajkowało 3.600 razy. Widocznie w kraju północnych Amerykan nie może być inaczej, jak tylko tak, że jedna klasa społeczna zwiększa dochody prywatne i buduje nowe przedsiębiorstwa, podczas gdy druga — strajkuje.

Piotr Pigwa.

Proporcje

Przywykliśmy sądzić, że USA jest krajem dyskryminacji rasowej. Mamy nawet wiele dowodów, że stosunek do Murzynów nie kształtuje się tam na płaszczyźnie równości demokratycznej. Działalność Ku-Klux-Klanu, postępowanie z Murzynami w życiu codziennym znane są pospolitemu czytelnikowi zbyt dobrze.

Aż tu zdumiony czytelnik Biuletynu Wiadomości Tygodniowych Ambasady Stanów Zjednoczonych w Polsce dowiaduje się, że to wszystko łgarstwo. Bo oto co czytamy w jego numerze styczniowym:

„Truman składa hołd murzyńskiemu uczonemu.

Waszyngton, 6 grudnia: W celu uczczenia pamięci zmarłego przed 15 laty dr. George'a Washington Carver'a, znanego na całym świecie murzyna amerykańskiego, uczonego i wychowawcy, wypuszczono nowy 3-centowy znaczek pocztowy z jego podobizną.

Naczelny Dyrektor Poczt Jesse Donalson, inaugurował wydany w poniedziałek znaczek uroczystością w Instytucie Tuskagee w stanie Alabama, gdzie dr Carver po raz pierwszy zdobył rozgłos badaniami na polu rolnictwa. Uroczystośc w Tuskagee zapoczątkowała szereg podobnych obchodów w całym kraju. W depeszy nadesłanej do Dyrektora Instytutu Tuskagee, dr F. D. Pattersona, Prezydent Truman podkreślił z zadowoleniem dalszy rozwój pracy zapoczątkowanej przez dr. Carvera w Fundacji jego imienia znajdującej się przy Instytucie, i chwalił „ducha i metody tego wybitnego uczonego i dobroczyńcy ludzkości".

Rodzice dr. Carvera byli niewolnikami, a jego kariera stała się symbolem wznoszenia się murzynów amerykańskich w hierarchii społecznej. Pomiędzy licznymi swymi osiągnięciami, dr. Carver przeprowadzał doświadczenia mające na celu dopomożenie rozwojowi rolnictwa w południowych stanach. Dr. Carver był członkiem Royal Society of Arts w Londynie, i uzyskał wiele nagród i odznaczeń w Stanach Zjednoczonych. Zmarł w Tuskagee w r. 1943. „New York Times" podał do wiadomości fakt, że gubernator stanu New York, Dewey, wyznaczył dzień 5 stycznia na uczczenie 5 rocznicy śmierci dr. Carvera, i w swoim artykule wstępnym powiedział, iż zmarły „prawdopodobnie nie mógłby sobie życzyć piękniejszego pomnika, niż przyznanie, że przykład jego przybliżył czas, w którym wszyscy ludzie niezależnie od zabarwienia skóry będą sądzeni jedynie na podstawie swoich zasług".

Dbały o prawdziwe informacje redaktor Biuletynu zapomniał tylko dodać, że uznanie dla murzyńskiego uczonego pozostaje w takiej proporcji do powszechnego stosunku Amerykanów do Murzynów jak obchodzący święto uczonego stan Nowy Jork do całości Stanów Zjednoczonych nie mówiąc już o przodujących w dziedzinie dyskryminacji rasowej Murzynów stanach południowych, z których wywodził się George Washington Carver.

Wot Gołubczyk.

Sielanka ks. Biskupa

Podajemy poniżej dwa głosy: przedstawiciela duchowieństwa w Polsce ks. Biskupa Choromańskiego oraz przedstawiciela świata nauki, prof. Stanisława Śreniowskiego. Oto co pisze ks. Biskup na temat współpracy Kościoła z Państwem w świątecznym numerze „Tygodnika Warszawskiego":

„Tak jest — musi zapanować pokój w duszy człowieka i taki pokój jest właśnie misją Kościoła. Kościół na tej płaszczyźnie doskonale współdziała z państwem, w którego przecież interesie leży, by pokój panował w społeczeństwie.

Kościół nie dąży do supremacji nad Państwem i uważa taki stosunek między nimi za szkodliwy; Kościół odrzuca supremację Państwa nad Kościołem, jako krzywdzącą i niesprawiedliwą; Kościół nie dąży i nie chce walki z Państwem; Kościół zawsze dążył i pragnie korzystnej współpracy z Państwem.

Tak było zawsze w dziejach Kościoła i takie jest stanowisko Kościoła dziś, kiedy chodzi o odbudowę Państwa Polskiego".

Wygodnie jest odwoływać się do historii. Lecz nie sięgajmy zbyt daleko, oto co pisze o tej współpracy kościoła z państwem historyk, profesor uniwersytetu, w swojej książce „Dzieje chłopów w Polsce". Przypomnijmy, że są to czasy tuż przed drugą wojną światową, kiedy analfabetyzm w Polsce dosięgnął cyfry pięciu i pół miliona dorosłych i pół miliona młodzieży, kiedy połowa uczących się dzieci chodziła tylko do szkółek jedno i dwu klasowych, kiedy... „chłop miał być siłą roboczą, miał żywić i bronić, ale nie wolno mu było myśleć, bo wówczas mógłby wymyślić... rewolucję":

„Państwo i kościół czuwały, aby (chłop) był potulny. Kler prowadził zajadłą walkę przeciwko wszelkiemu ruchowi chłopskiemu, przeciwko Stronnictwu Ludowemu i Związkom Młodzieży Wiejskiej „Wici", nadużywał kazalnic i konfesjonału, insynuował, że program chłopski jest sprzeczny z moralnością chrześcijańską, walczył w obronie interesów własnych, jako właściciela latyfundiów, a zarazem jako głównego wychowawcy duszy chłopskiej.

Współpraca rządu i Kościoła była zupełna. Rząd konfiskował każdy niemal numer „Zielonego Sztandaru", pisma Stronnictwa Ludowego, a Kościół propagował umiejętnie własne wydawnictwa: Przewodnik Katolicki, Rycerza Niepokalanej, kalendarze ogłupiające wieś itd. Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży pod auspicjami Kościoła starało się spętać wieś frazeologią religijną, tak samo jak rządowy Siew, frazeologią państwową. Ale fakty ni dają się przesłonić słowami...

Pan i kler siedzieli na liczących kilkaset i kilka tysięcy hektarów majątkach, obrabianych przez chłopów za cenę kilkudziesięciu groszy dziennego wynagrodzenia, a taksy chrztów, ślubów, pogrzebów wynosiły równocześnie po kilkadziesiąt złotych. Kościół urabiał duszę chłopską w wierze chiliastycznej, kazał modlić się i pracować, aby stać się godnym Królestwa, które przyjdzie, próbował zbagatelizować doczesną niedolę chłopską i fakty najjaskrawszej nędzy chłopa, wyrażającej się cyfrą 22 groszy jako wartości wyżywienia osoby w drobnym gospodarstwie chłopskim."

Powoływać się w tym wypadku, ks. Biskupie na historię nie warto — lecz wyciągniętą dłoń do współpracy na gruncie reform społecznych — państwo zawsze przyjmie.

Krzysztof Martyński.

Na nowym etapie reformy szkolnej

Ostatnie obrady Sejmowej Komisji Oświatowej oraz inauguracyjne posiedzenie Rady Głównej do Spraw Nauki i Szkolnictwa Wyższego poparte przemówieniem Prezydenta Bieruta rozpoczęły nowy etap w kształtowaniu trzeciej wielkiej reformy, jaką jest reforma szkolna.

Charakterystyczne, że fakt ten poprzedziło ożywienie myśli teoretycznej w zakresie polityki i socjologii szkolnictwa czy socjologii wychowania. Ta zbieżność teorii i praktyki w dziedzinie oświaty nie jest zdarzeniem, które można by określić jako przypadkowe — wręcz przeciwnie, świadczy ono o wyraźnej prawidłowości w zachodzących procesach społecznych. Potwierdza tezę, że w społeczeństwie typu socjalistycznego nie ma miejsca na zasadniczą sprzeczność między teorią a praktyką, ale właśnie teoria wspiera i kieruje praktyką społeczną.

Świadczą o tym artykuły zamieszczone w nr. 11 (18) „Myśli Współczesnej" traktujące przede wszystkim o zagadnieniach szkolnictwa wyższego — A. Butiagin i J. Sałtanow „Trzydzieści lat wyższego szkolnictwa w Z. S. R. R." W. Sokorski „Demokratyzacja szkół wyższych", a przede wszystkim artykuł prof. Chałasińskiego „Współczesne reformy szkolne, a idea narodu i socjalizmu". Prace te, podobne jak i prof. K. Sośnickiego. „Kierunki pedagogiczne do końca XIX w. i ich aspekt polityczny" („Nowa szkoła" nr. 4), obalają całkowicie niezgodną z prawdą teorię „szkolnictwa apolitycznego", rzekomo niezmiennego w swych założeniach w stosunku do człowieka różnych epok i społeczeństw.

„Historia wychowania i szkolnictwa nie jest historią oderwanych idei, lecz historią sił i ruchów społecznych, dla których idee są zarówno celami do których dążą, jak i reflektorami, które oświetlają drogę do tych celów". (J. Chałasiński) Prof. Sośnicki potwierdza tę tezę: „Co więcej, można mieć poważne wątpliwości, czy jakiś system pedagogiczny, który przecież musi podawać zawsze jakieś normy wychowania, może być całkowicie wolny od aspektu politycznego. Każdy bowiem z nich musi przyjmować mniej lub więcej wyraźnie jako swoją podstawę, odpowiedź na dwa zasadnicze pytania:

1. Czym właściwie jest człowiek i co stanowi jego istotę?

2. Czym jest świat w którym żyjemy, i jaka jest istota tego świata?"

Nie może być mowy o „nowej kulturze" i „o nowym człowieku" bez nowego systemu jednolitej i powszechnej oświaty, bez zmienionego składu społecznego młodzieży na wszystkich szczeblach nauczania, bez całkowitego zlikwidowania analfabetyzmu.

Stoi przed nami i w tej dziedzinie praca za kilka pokoleń, musimy odrobić nasze „cywilizacyjne spóźnienie" w stosunku do krajów przodujących w dziedzinie kultury.

„Gdy inne kraje w ciągu XIX wieku upowszechniały kolejno najpierw szkołę elementarną, a później średnią, a następnie uniwersytety, to współczesna Polska musi to zrobić równocześnie, ponieważ nie ma już czasu na rozkładanie tego procesu na etapy. Zaległej historii nie da się rozłożyć na raty".

Reforma szkolna wyrosła już z okresu niemowlęcego — „dekretów ministerialnych", a stała się sprawą całego społeczeństwa, zmobilizowała opinię publiczną, dojrzewa coraz bardziej do wyznaczonej jej roli. Tak więc jak faktem stała się demokracja ludowa, jako „polska droga do socjalizmu", tak też faktem staje się nowa, zgodna z potrzebami społecznymi i narodowymi polska szkoła, polski system socjalistycznego wychowania.

Nie ruszone jeszcze w dyskusji ogólnej jest nabierające coraz większego znaczenia zagadnienie ideologiczno-wychowawczych organizacji młodzieżowych. Usiłowała tę dyskusję rozpocząć „Wieś" analizując podstawy ruchu młodowiejskiego „Wici" i tradycję historyczną Z. W. M. Problem domaga się naukowego opracowania i naukowych dyrektyw. „Toczymy — jak powiedział W. Sokorski — dumną walkę o wolność człowieka w jego twórczym i świadomym akcie codziennego stawania się".

Alina Osiadaczówna.

Kultura na łatki

Motto:
„Pytasz, jak Wysz się pisze.
Nie zauważyłem.
Lecz sądząc ze wszystkiego
To przez e pochyłe".

Teodor Bujnicki.

W „Tygodniu" istnieje szpalta zatytułowana szumnie „kroniką kulturalną". Nad jej prowadzeniem poci się niejaki pan St. Łatka. Widocznie z nieumiejętności prowadzenia tego rodzaju kroniki lub po prostu chronicznego braku konceptu „kulturalnego" pan St. Łatka redaguje ją w sposób nie nazbyt kulturalny. Oto najczęściej dysponowanie tą rubryką służy mu do insynuowania temu czy innemu tego lub innego — do przypinania łatek (przepraszam autora kroniki za swobodne posługiwanie się jego nazwiskiem). Jednym słowem kultura p. Łatce służy na „łatki".

W nr. 1 (77) z dnia 4.1. 48 r., tego pisma p. Łatka zaprezentował znowu swą impotencjalną „kronikę kulturalną". Tym razem próbując „omawiać" pracę Borejszy p.t. „Na rogatkach kultury polskiej", pozwolił sobie p. Łatka na „przypięcie się" do kilku osób. Pozwolę sobie zacytować kilka zdań autora z „Tygodnia": „Borejsza rozprawia się z pojęciem „mnogości" czy „wielości" kultur — mówiąc słowami Chwistka: z kulturą chłopską, robotniczą, inteligencką itp., które mają dziś w Polsce swych wyznawców i bojowników, tak bardzo zaślepionych jak np. Jan Aleksander Król ze „Wsi". Dalej St. Łatka cytuje z Borejszy: „Słyszymy nieraz, jak ludzie młodzi, bez dostatecznej znajomości dziejów tej pracy (oświatowo - kulturalnej) w naszym kraju, w czambuł potępiają wszystko co było przed nimi, i odżegnują się od wszystkiego bez wyjątku, co w tej dziedzinie zdziałano w okresie przedwojennym. Skłonni są oni nawet z tą właściwą młodzieży pewnością siebie utrzymywać, że przed nimi nie było absolutnie nic i że dopiero od nich rozpoczyna się nowa era i nowy świat". Komentując powyższe zdania pisze Łatka: „Istnieją pewne kategorie teraźniejszej inteligencji, w swoim mniemaniu zapewne elity kulturalnej, podkreślające z upodobaniem, że świat się od nich zaczął, że dotąd w Polsce nie było nic... I tam dalej. Prosimy to sobie przeczytać. — Ale co na to wszystko, co na Borejszę powie Żółkiewski — owo jaje prabytu, z którego w Polsce wszystko się wykluło, łącznie z Ryśkiem Matuszewskim i Julkiem Żuławskim?". A więc dostało się po kolei Królowi i Żółkiewskiemu, Matuszewskiemu i Żuławskiemu. Ale mniejsza o te imienne wycieczki pana Łatki uważającego ludzi nie zwracających nań uwagi za zapowietrzonych „kulturalnie". Rzecz jest inna i o wiele poważniejsza. „Kroniki kulturalne" „Tygodnia" są niezdrowym objawem nieuczciwej informacji, smutnym przejawem wypaczania cudzych myśli przez niedorzeczne komentarze „łatkowych" kronikarzy.

Wśród twórczości nieodżałowanego poety Teodora Bujnickiego jest jeden skromny, lecz bardzo celny czterowiersz. Z pewnością jest on dobrze znany p. Łatce, któremu poleciłbym go do czytania przed każdorazowym pisaniem „kroniki kulturalnej".

Waldemar Kiwilszo.

Atomizm i tomizm

W ubiegłym roku w Londynie wyszła książka biskupa Knox'a pod tytułem „Bóg i atom". W jednym z rozdziałów tej książki zatytułowanym „Atomizm i tomizm" biskup usiłuje „dowieść" w sposób wysoce „naukowy" i nadzwyczaj zawiły, że odkrycie i wyzwolenie wewnętrznej energii atomu ma potwierdzać „słuszność" i „prawdę" scholastycznej filozofii Tomasza z Akwinu. Po tym stwierdzeniu proponowałbym od siebie zmodyfikowanie nazwy współczesnego neotomizmu, na atomizm, — różnica w nazwie nie wielka, a treść za to o wiele bogatsza.

Jan Bryczek.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI:

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik":

Michał Szołochow — Cichy Don — tom. II cz. I — str. 224
— Cichy Don — tom. II cz. II — str. 254
— Cichy Don — tom. III str. 521;

Jerzy Borejsza — Na rogatkach kultury polskiej str. 31;

Bohdan Dyakowski — Nasze zboża str. 78;

J. I. Kraszewski — Historia o Januszu Korczaku i pięknej miecznikównie — str. 266;

Najciekawsza podróż z Drem Wszędobylskim — napisał — Dr. Wszędobylski — str. 175;

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA WIEDZA:

Eliza Orzeszkowa — Meir Ezofowicz, 2 t. — t. 1. str. 205, t. 2. str. 220;

Jerzy Seweryn — Kierunek na Elżbietkę str. 220;

A. A. Milne — Chatka Puchatka, przełożyła Irena Tuwim, str. 200;

Karolina Beylin — My sami! str. 105;

Adam Próchnik — Człowiek — myśliciel — polityk, str. 31;

Halina Górska — O księciu Gotfrydzie rycerzu gwiazdy wigilijnej str. 114;

Rudyard Kipling — Kim, str. 341;

Gustawa Jarecka — Ludzie i sztandary 2 t. 1. t. str. 272, t. 2. str. 362;

M. Faraday — Dzieje świecy — str. 149;

D. Gayówna — Dobroczyńca ludzkości Ludwik Pasteur — str. 158;

B. Dyakowski — Badacz dalekiej północy — str. 95;

Zofia Bohuszewicz — Jean Henri Fabre — str. 117;

Jan Sokołowski — Orzeł król ptaków — str. 57;

D. Gayówna — Sosna str. 63.

WYDAWNICTWA INNE:

Oliver Goldsmith — Pleban z Wakefieldu — str. 223. Warszawska spółka Wydawnicza „Syrena";

Leon Pasternak — Linia życia — str. 78, nakładem Związku Zawodowego Literatów Polskich;

Remigiusz Kwiatkowski — Parasol noś i przy pogodzie — str. 126 — Warszawska Spółka Wydawnicza „Syrena".

WYDAWNICTWO M. KOT — KRAKÓW:

Henryk Mościcki — Ludzie wolni są braćmi — str. 123;

Kazimierz Lepszy — Zarys dziejów polskiej marynarki, str. 83;

Bogusław Leśnodorski — Parlamentaryzm w Polsce, str. 160.

KOMUNIKAT

Zarząd Wojewódzkiego Związku Samopomocy Chłopskiej w Łodzi podaje do wiadomości, że w dniach 7, 8. II br., odbędzie się III-ci Walny Zjazd — sprawozdawczo-wyborczy Wojew. Zw. Sam. Chłopskiej, w lokalu „Domu Kultury Robotniczej", przy ul. Przędzalnianej 68 — w Łodzi.

Jednocześnie Zarz. Woj. ZSCh. zawiadamia, że w dniach 12, 13 i 14.II. 48 r., odbędzie się Zjazd Szkoleniowy terenowych Pracowników Wydziałów Rolnych, Związku Samopomocy Chłopskiej i Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych z województw: warszawskiego, lubelskiego i łódzkiego, w tymże samym lokalu tj. przy ul. Przędzalnianej 68 w Łodzi.

Tematem obrad będzie podniesienie produkcji i wyścig pracy w rolnictwie.

Redaktor naczelny — **Jan Aleksander Król.**
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.
Ceny ogłoszeń: kolumna 60.000 zł; 1/2 kolumny 30.000 zł;
1/4 kolumny 15.000 zł; 1/8 kolumny 5.000 zł.
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 40,—zł, kwartalnie 120,—zł, półrocznie 240,— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto
PKO ŁÓDŹ VII — 1080.
Odbito w drukarni Sp. Wyd. „Czytelnik" Nr 4 — Łódź, Żwirki 2. D—025006